NR 30 (1903) 29 LIPCA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

POWSTANIE PAMIĘTAMY
i będziemy pamiętać

Fot. Gabriela Słowińska / 2019

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- DLACZEGO LATA 90. BYŁY FAJNIEJSZE?
- CO NAM POKAZUJĄ MŁODZI FILMOWCY?

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 8a00c38e4c

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego to bezprecedensowe wydarzenie, które odbywa się co roku 1 sierpnia w każdą kolejną rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Powstania, które choć tragiczne w skutkach, było wyrazem marzeń o wolnej Polsce i symbolem niezłomności, wolności i patriotyzmu najwyższej próby. Podobnie jak powstanie Solidarności, w innej epoce, w innych warunkach, ale z niezmienną determinacją. Oba zrywy narodziły się spontanicznie, wyrastając z serc Polaków, będąc wyrazem obywatelskiego sprzeciwu wobec zniewolenia. I chociaż różne w formie i tragizmie, wyrażonym chociażby liczbą ofiar, niosły za sobą ten sam etos – niezłomność i gotowość poświęcenia życia dla godności i wolności człowieka.

Możemy włączyć się aktywnie we wsparcie happeningu symbolizującego wspólne wartości zarówno dla NSZZ „Solidarność", jak i Powstańców Warszawskich.

Jako redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność", a także członek Zarządu Fundacji Promocji Solidarności, od niedawna wydawcy zarówno „Tygodnika", jak i portalu Tysol.pl, jestem zaszczycony, że w tym roku możemy włączyć się aktywnie we wsparcie tego wyjątkowego happeningu symbolizującego wspólne wartości zarówno dla NSZZ „Solidarność", jak i Powstańców Warszawskich.

Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego to nie tylko efektowne wydarzenie wizualne, ale przede wszystkim forma zbiorowej pamięci, która jednoczy ludzi ponad podziałami. Tym bardziej dla nas zaangażowanie w organizację Żywego Znaku jest sposobem oddania hołdu tym, którzy podobnie jak działacze NSZZ „Solidarność" walczyli o wolność i suwerenność Polski. Niezależnie czy walczyli z bronią w ręku, jak w 1944 roku, czy też w inny sposób, jak chociażby w stanie wojennym.

W sposób szczególny zależy nam na tym, aby przekaz płynący z tego wydarzenia był nie tylko wizualnie efektowny, ale przede wszystkim bogaty w treść, ponieważ wiedza o historii nie kończy się na kartach podręczników, lecz pozostaje wciąż żywa, kiedy przekazujemy ją kolejnym pokoleniom. Dlatego 1 sierpnia będziemy obecni zarówno symbolicznie, jak i fizycznie. Planujemy aktywny udział naszych przedstawicieli podczas Żywego Znaku.

Serdecznie zapraszamy wszystkich czytelników „Tygodnika Solidarność", członków i sympatyków NSZZ „Solidarność" do aktywnego udziału w happeningu. Niech naszym przesłaniem na ten dzień będą pamięć, wdzięczność i gotowość do kontynuacji idei, za które Powstańcy Warszawscy i ludność cywilna oddawali swoje życie. To nasz obowiązek jako spadkobierców ich marzeń o wolnej i suwerennej Polsce.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 8a00c38e4c

29.07.2025
WYDANIE Nr
30

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

81. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

8	**Oddajemy hołd Powstańcom Warszawskim. Rozmowa z J. Perłowskim**
11	**Kontynuatorzy Idei Niepodległości**
14	**Nie wolno nam zapomnieć!**
17	**Czy młoda prawica nie lubi powstań?**
20	**To nie jest zwykły pomnik**

KRAJ

Rząd dławi płacę minimalną 24

ZAGRANICA

Historyczna wojna Beniamina Netanjahu 34

SPOŁECZEŃSTWO

Lata 90., czyli dlaczego „kiedyś było jakoś fajniej”? 38

Dziecko trojga rodziców 42

Infrastruktura rowerowa 46

KULTURA

Jesteśmy tacy sami. Rozmowa z Qingą i M. Palmerem 50

Młodzi kręcą 54

Kosmos na co dzień 58

„Kino grozy jako zwierciadło społeczne”. Rozmowa z B. Kowalskim 62

Jak zostać komiksiarzem 66

ZWIĄZEK

Co w związku 70

FELIETONY:

WOŚ 27

OKRASKA 37

GAC 45

PŁUŻAŃSKI 65

POLECAMY:

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 23

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 32

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 41

KARUZELA Z BLOGERAMI 44

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 61

PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 8a00c38e4c

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

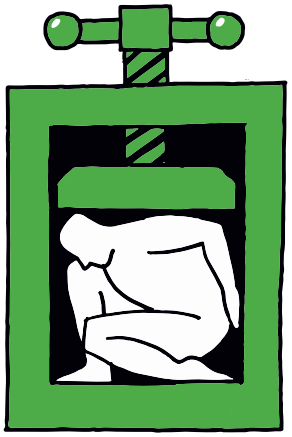

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 8a00c38e4c

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 8a00c38e4c

45 Solidarność TYLKO RAZEM

Bądźmy obecni przy zaprzysiężeniu prezydenta

Członkowie i sympatycy Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”! Drodzy Przyjaciele!

Wybory prezydenckie za nami. Ich wynik został ogłoszony, zatwierdzony i potwierdzony. Mimo to zamiast zaakceptować decyzję Polaków, obecna władza próbuje zakrzyczeć rzeczywistość. Jak długo jeszcze mamy znosić podważanie mandatu wybranego w legalnych wyborach prezydenta? To nie są działania demokratyczne. To zamach na wolę narodu.

Jako przewodniczący Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” i obywatel Polski, jeden z wyborców Karola Nawrockiego, nie mogę przejść obojętnie wobec kolejnych prób podważania fundamentów demokracji w naszym kraju.

Wyraźnie widzę, jak wybiórczo władza traktuje prawo. Gdy wyrok sądu jest nieprzychylny, nie uznaje się go. Sędziowie stają się nagle „wrogami demokracji”. To jasny sygnał: prawo ma teraz działać tylko dla wybranych.

Władza systematycznie ignoruje również głos związków zawodowych, lekceważy postulaty pracowników, nie uczestniczy w dialogu społecznym. Próbuje nas marginalizować i uciszać.

Ale nie zdoła tego zrobić. Solidarność powstała z buntu przeciwko władzy, która nie słuchała ludzi. Od 45 lat żaden rząd i żaden polityk nie zdołał zamknąć nam ust, choć wielu próbowało. Dziś jesteśmy najsilniejszym związkiem zawodowym w Polsce. Ta siła wyrasta z miłości do Ojczyzny i z wartości, które są nam najbliższe: wolności, sprawiedliwości i demokracji.

Dlatego apeluję do Was: pokażmy naszą siłę! 6 sierpnia o godzinie 09.00 wszyscy spotkajmy się przed Sejmem RP w Warszawie. Bądźmy przy zaprzysiężeniu prezydenta Karola Nawrockiego – człowieka, który nie zapomniał, skąd wyszedł i kto mu zaufał. Pokażmy, że Polska to przede wszystkim jej obywatele. To pracownicy. To my – ludzie Solidarności, którzy mają prawo wybierać, kogo chcą, i domagać się szacunku dla oddanego głosu.

Pilnujmy Polski.

Szczęść Boże!

eprasa.pl 8a00c38e4c

Temat Tygodnia

Fot. zrzut ekranu z wywiadu

ODDAJEMY HOŁD

Powstańcom Warszawskim

– 1 sierpnia 1944 r. nie był wcale smutnym dniem. To był dzień, kiedy wszyscy mieli nadzieję na odzyskanie niepodległości – mówi **Jacek Perłowski**, przewodniczący zgromadzenia publicznego „Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego" odbywającego się w godzinę „W" na placu Zamkowym, w rozmowie z **Rafałem Wosiem**.

– 1 sierpnia w Warszawie na placu Zamkowym odbędzie się wyjątkowy happening „Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego". Zwykli ludzie ustawią się w kształt powstańczej kotwicy i w ten sposób oddadzą hołd bohaterom Powstania Warszawskiego. Jak to będzie w tym roku wyglądało?

– Pewne schematy utrzymujemy od dawna, chcemy oddać Powstańcom hołd przez ustawienie znaku Polski Walczącej. To już dwunasty rok, kiedy układamy kotwicę ku ich

eprasa.pl 8a00c38e4c

czci. Co roku odbywa się to nieco inaczej, ale jak wskazuje nazwa: „Żywy Znak”, kształtują go przychodzący na pl. Zamkowy ludzie. Robimy to trochę spontanicznie, nie jest to jakoś wcześniej ustalane, więc każdy może dołączyć, raz jest więcej, raz mniej ludzi. W tym jest właśnie cały sens, że robimy to na żywo, oddajemy z serca hołd Powstańcom Warszawskim i staramy się wprowadzić atmosferę powstańczą. Dodatkowo, jeśli tylko możemy, śpiewamy też powstańcze piosenki. Od kilku lat wychodzi nam to coraz lepiej, ponieważ dzięki naszym sponsorom mamy nagłośnienie. Dzięki temu wszyscy mogą słyszeć śpiew i jednocześnie włączyć się do wspólnego śpiewania. To jest duży plus. Mamy grono osób, które to prowadzą. Od lat też do naszych prowadzących przyłączają się zupełnie spontanicznie różne osoby, więc repertuar całego wydarzenia ewoluuje, co roku jest troszeczkę inny, co roku jest – moim zdaniem – ciekawszy.

– A jak Pan ocenia z perspektywy tych minionych lat to, co się dzieje wokół Powstania i też wokół Waszej inicjatywy?

– Nasza inicjatywa była i nadal jest oddolna, nie inspirowana przez żadną instytucję. Po prostu zebraliśmy się w kilka osób, chcieliśmy zrobić coś wyjątkowego w centrum Warszawy, i tak się to zaczęło. Wiem, że 1 sierpnia zawsze wyły syreny i kto chciał, stawał na baczność, pragnąc uczcić ten moment. Natomiast główne uroczystości zawsze odbywały się na cmentarzu Powązkowskim i w wielu miejscach, gdzie rozpoczynały się walki. To były miejsca zapomniane, jakby pominięte. Tam się nic nie działo, a właśnie 1 sierpnia tam się działo najwięcej. Powstał więc pomysł, żeby zrobić happening, jakieś spotkanie, jakąś inscenizację, no i padło właśnie na plac Zamkowy. Dziękuję bardzo Gabrysi, że wpadła na pomysł ustawienia znaku Polski Walczącej na pl. Zamkowym.

CHCEMY ODDAĆ POWSTAŃCOM HOŁD PRZEZ USTAWIENIE ZNAKU POLSKI WALCZĄCEJ. TO JUŻ DWUNASTY ROK, KIEDY UKŁADAMY KOTWICĘ KU ICH CZCI.

– Mowa o naszej koleżance z Fundacji Promocji Solidarności, Gabrieli Słowińskiej?

– Tak, to był jej pomysł. Szukałem formuły upamiętnienia Powstańców Warszawskich i ich heroicznego zrywu, a Gabrysia zaproponowała happening w postaci ustawienia powstańczej kotwicy. Bardzo mi się spodobała taka formuła i wtedy zgłosiłem zgromadzenie. Za pierwszym razem przyszło dużo osób. Zresztą w tym miejscu 1 sierpnia jest zawsze dużo ludzi. Do chwili, gdy rozpoczęliśmy organizowanie „Żywego Znaku”, panowała tam inna atmosfera niż obecnie. Początkowo kształt nie do końca nam się udał z racji małych zasobów ludzkich, ale postanowiłem – jako że jestem z rodziny powstańczej, moi rodzice walczyli w Powstaniu – że będziemy to wydarzenie kontynuowali co roku.

– Właśnie, bo należy Pan do tych Polaków, dla których Powstanie Warszawskie to nie tylko historia, której uczymy się na lekcjach w szkole, ale część dziejów Pana rodziny. Bardzo ważna, jak widzę, oglądając pamiątki, które Pan przyniósł.

– Jako syn powstańca chciałem upamiętnić w centrum Warszawy bohaterów tego zrywu, ich walkę i chęć odzyskania niepodległości. Mój tata, pseudonim „Brat”, walczył w Powstaniu, był w zgrupowaniu Bartkiewicza, jako 17-latek walczył w Śródmieściu. Mam tu jedną z unikatowych pamiątek po tacie – zaświadczenie z Armii Krajowej, że Jan Perłowski walczył pod pseudonimem „Brat”, był strzelcem w Powstaniu. Jest jeszcze oczywiście oryginalna kenkarta z czasów okupacji oraz legitymacja – po odzyskaniu niepodległości – informująca o wcieleniu w siły zbrojne na Zachodzie: „Perłowski Jan, urodzony w 1926 roku w Warszawie, wyznanie rzymskokatolickie, stopień wojskowy kapral”. Tak, tak, skończył w stopniu kaprala. Jest też z niewoli stalak i numer jeniecki, oryginalnie przydzielony mojemu tacie, więc to są bardzo cenne dla nas pamiątki. Jedna jest wyjątkowa. Mój tata mieszkał na Pradze, ale walczył w Śródmieściu. Jedyne, co z takich osobistych rzeczy zabrał i co przetrwało czas Powstania, to ten obrazek, pamiątka jego rodzinnego domu, którego już później nie było. Moja mama, która w czasie Powstania miała 14 lat i mieszkała na Mokotowie w samotności, bo była oddzielona od rodziny, nie zabrała ze sobą nic. Mieszkanie spłonęło, dlatego pamiątek z tego czasu po mamie niestety nie mamy.

– Czy dzisiejsza Polska w wystarczający sposób dba o pamięć

eprasa.pl 8a00c38e4c

o bohaterach Powstania Warszawskiego?

– Uważam, że w niewystarczający sposób. Myślę, że jest zbyt wiele zapomnianych miejsc i faktów, a powinny być szerzej eksponowane. Powstańcy Warszawscy walczyli o wolną, niepodległą Polskę bez żadnych podstaw ideologicznych, co teraz niektórzy próbują im przypisywać. „Bóg, Honor, Ojczyzna" – to były ich hasła w sercu, z którymi się utożsamiali. Tak jak mój tata, który przekazał mi te wartości jako swego rodzaju spadek. Moim zdaniem można by lepiej wykorzystać ten potencjał patriotyzmu. To, że oficjele świętują na cmentarzu Powązkowskim, to dobrze, ale brakowało mi takiego szerszego świętowania, żeby wszyscy Polacy mogli zastanowić się nad swoim patriotyzmem, żeby czerpali z patriotyzmu tych ludzi, którzy wtedy poświęcili swoje życie. Z takiej potrzeby narodził się pomysł zorganizowania „Żywego Znaku dla Powstania Warszawskiego".

– „Tygodnik Solidarność" z radością obejmuje patronat medialny nad inicjatywą „Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego" i ją promuje, również z tego powodu, że w etosie Solidarności kontynuacja pamięci o Powstaniu Warszawskim zajmuje bardzo ważne miejsce. Zapraszamy naszych Czytelników 1 sierpnia ok. godz. 17.00 na pl. Zamkowy w Warszawie.

– Nawet wcześniej, zaczynamy już o godz. 16.00. Dołączyły do nas młode, pięknie śpiewające osoby, takie jak Błażej Grzegorczyk czy Ola Świerczyńska. Tych dwoje młodych ludzi chce uczcić razem z nami na pl. Zamkowym tę wyjątkową chwilę, mimo że sami nie są warszawiakami. Zaśpiewają podczas naszego happeningu piosenki powstańcze. Serdecznie zapraszamy do wspólnego przeżycia godziny W i wejścia w atmosferę Powstania. Dla Powstańców 1 sierpnia 1944 r. nie był smutnym dniem. To był dzień, kiedy wszyscy mieli nadzieję na odzyskanie niepodległości. Po to zdecydowali się na walkę. Oni nie podjęli walki z przymusu. Nawet rozkaz wybuchu Powstania Warszawskiego nie był tego typu rozkazem, który zmuszał niemal wszystkich warszawiaków do stawienia zbrojnego oporu okupantowi. Oni na niego czekali, chcieli podjąć walkę, chcieli walczyć o Polskę i odzyskać niepodległość. Dlatego oddajmy im hołd razem 1 sierpnia na pl. Zamkowym.

Jacek Perłowski – syn powstańca warszawskiego, prezes Stowarzyszenia Polonia Restituta, od 12 lat przewodniczący zgromadzenia publicznego podczas happeningu historycznego „Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego" odbywającego się w godzinę „W" na placu Zamkowym.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Tzw. Dolinka Katyńska, tradycyjne miejsce manifestacji patriotycznych w stolicy, 1 sierpnia 1984 r.

Fot. T. Gutry

Kontynuatorzy Idei Niepodległości

Pamięć o Powstaniu Warszawskim przetrwała niemal cztery dekady prób marginalizowania i podważania jego sensu przez władze PRL. **Wybuchła z całą** mocą razem z Solidarnością na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku.

Barbara Michałowska

Rodacy! Złożyliśmy nasz skromny dar – naręcza polnych kwiatów – wieńce. Na szarfach napisy: „Żołnierzom Polski Podziemnej – kontynuatorzy Idei Niepodległości", „Powstańcom Warszawy – młodzież polska". Te oto wieńce złożyliśmy na tym miejscu w poczuciu całej wielkości chwili, albowiem Testament Polski Walczącej nie został spełniony – tak mówił do zebranych przed Grobem Nieznanego Żołnierza na ówczesnym placu Zwycięstwa w Warszawie 31 lipca 1979 roku, tuż przed 35. rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego, Wojciech Ziembiński.

Przypominał: – Ostatni Dowódca Sił Zbrojnych w kraju, generał Niedźwiadek – Leopold Okulicki, który poległ na obcej ziemi, zamordowany w Moskwie w 1946 roku – 19 stycznia 1945 r. >

eprasa.pl 8a00c38e4c

wydał ostatni rozkaz, który nadal obowiązuje:

„Żołnierze! Daję wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej Niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległości Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z was musi być dla siebie dowódcą".

– Wolność jest rzecz najcenniejszą – zaznaczył Ziembiński.

Msza Święta w katedrze św. Jana, celebrowana przez biskupa pomocniczego warszawskiego Zbigniewa Kraszewskiego, a po niej przemarsz Krakowskim Przedmieściem na ówczesny plac Zwycięstwa i uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza, to pierwsze tak okazałe obchody Powstania Warszawskiego po wojnie. Zorganizowali je działacze Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a opisał ich bezdebitowy organ prasowy pt. „Opinie".

Na łamach tego samego pisma Andrzej Stanisławski klarował:

„Prawdą jest, że ROPCiO w swoich publikacjach i działalności kieruje się kryterium polskiego interesu narodowego. Uzyskanie pełnej suwerenności państwowej i wprowadzenie demokratycznego porządku w stosunkach wewnętrznych stanowią zasadniczy cel naszego Ruchu".

ROPCiO i KOR, które stanowiły podbudowę powstałej rok później Solidarności, zbudowane były na idei niepodległościowej i pamięci o Powstańcach.

Sami kombatanci Armii Krajowej czynnie włączyli się w działalność opozycyjną lat siedemdziesiątych. Znaczącą rolę odgrywali zarówno w KSS KOR, jak i w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Ruchu Młodej Polski. Byli to m.in. Jan Olszewski oraz Stefan Kaczorowski – obaj walczący wcześniej w Powstaniu Warszawskim. Po wybuchu Solidarności to kombatanci byli tymi, którzy dbali o przywrócenie pamięci o ich działaniach podczas II wojny światowej i o to, by idea niepodległościowa była kontynuowana.

ROPCiO I KOR, KTÓRE STANOWIŁY PODBUDOWĘ SOLIDARNOŚCI, ZBUDOWANE BYŁY NA IDEI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ I PAMIĘCI O POWSTAŃCACH.

KOMBATANCI II WOJNY ŚWIATOWEJ WŁĄCZYLI SIĘ W DZIAŁANIA SOLIDARNOŚCI. PO WYBUCHU STANU WOJENNEGO UCZYLI MŁODSZYCH KOLEGÓW ZASAD KONSPIRACJI.

Odżywają tradycje powstańcze

– Duże znaczenie dla pamięci o Powstaniu Warszawskim miał również wybór Karola Wojtyły na papieża i jego słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze Ziemi, tej Ziemi". To było odwołanie do refleksji historycznej, nie tylko czystej duchowości – mówił kilka lat temu w Polskim Radiu 24 dr Piotr Łysakowski. – Pierwiastek duchowy, w postaci Jana Pawła II, i pojawienie się Solidarności sprawiło, że pojawiła się refleksja o Powstaniu Warszawskim, pojawiły się bardziej otwarte dyskusje na temat Katynia – dodawał gość PR24.

– Wtedy też widziałem pierwszy raz ludzi z Podziemia, z AK, którzy z dystynkcjami wojskowymi pojawili się na ulicach – wspominał dr Piotr Łysakowski.

W latach osiemdziesiątych odżyły tradycje insurekcyjne, a także powstańcze, które były przez władze PRL marginalizowane. Jeden z kombatantów na łamach „Tygodnika Solidarność" w listopadzie 1981 roku tak opisywał entuzjastyczne reakcje ludzi na rozwinięcie przez niego transparentu z napisem „Armia Krajowa": „Ten entuzjazm, to niezwykle serdeczne przyjęcie tych dwóch skromnych słów «Armia Krajowa» nie tylko przez starszych, ale i przez młodzież było niezwykłym dla mnie przeżyciem. Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Nie jestem skory do płaczu, a jednak łzy zakręciły mi się w oczach. Po tylu latach zohydzania naszej przeszłości, naszych często tragicznych walk, po tylu latach fałszowania historii, przeinaczania faktów nie udało się reżimowi wymazać z pamięci i sympatii warszawiaków Armii Krajowej".

Właściwe wzorce

– Naród odżywiony głębokim poczuciem swej odrębności i tożsamości

eprasa.pl 8a00c38e4c

duchowej i kulturowej, bogaty w tradycje i dokonania historyczne, naród, który zdumiał Europę swą wolą niezależności w powstaniach XIX w. i Powstaniu Warszawskim, nigdy nie zgodzi się być czyimś instrumentem – to już fragment kazania sekretarza Kurii Warszawskiej, bp. Zdzisława Króla podczas uroczystej Mszy Świętej odprawionej 31 lipca 1984 roku w katedrze św. Jana w ramach obchodów 40. rocznicy Powstania Warszawskiego. Wziął w niej udział prymas Polski Józef Glemp.

Po Mszy ok. 8 tys. osób udało się pod Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie złożono wieńce i biało-czerwone kwiaty oraz odśpiewano pieśni patriotyczne.

1 sierpnia 1984 r. niezależne obchody okrągłej rocznicy Powstania odbyły się na cmentarzu Powązkowskim, przede wszystkich w tzw. Dolince Katyńskiej, jak przypominał Grzegorz Majchrzak, tradycyjnym miejscu manifestacji patriotycznych w stolicy.

W „Tygodniku Mazowsze" pisano wówczas: „Od południa do późna w nocy wokół obelisku Armii Krajowej [...] zbierały się tłumy. Ludzie rozebrali parkan odcinający dostęp do «dołka [katyńskiego]», postawili krzyż z drewna i ułożyli wielki krzyż kwietny".

– Oczywiście w sytuacji utraconej znów wolności w przetrwaniu miała swój udział zarówno pamięć Bitwy Warszawskiej, jak i Powstania Warszawskiego. Lekcji konspiracji udzielali zarówno działaczom Komitetu Obrony Robotników (KOR), jak i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), żołnierze Szarych Szeregów i Armii Krajowej. Oni uczyli nas, jak postępować w razie rewizji, jakich zachowań wystrzegać się podczas śledztwa. Te spotkania pomogły zorganizować się ruchowi niepodległościowemu, bo miał właściwe wzorce, ruch Solidarności zaś wyrósł z zakorzenionego od pokoleń pragnienia swobód. Oczywiście ryzyka, które podejmowaliśmy, nie da się porównać z ryzykiem, które podejmowali Powstańcy Warszawscy – wspominał tamte czasy historyk prof. dr hab. Janusz Odziemkowski.

Stan wojenny, który mieli wówczas za sobą Polacy, był czasem wybuchu idei niepodległościowej i pielęgnacji tradycji insurekcyjnej. Bezpośrednio do Polski Walczącej odwoływał się znak Solidarności Walczącej. Litera „P" jest przedłużona łukiem w literę „S". O Powstaniu Warszawskim można było często przeczytać w drugoobiegowych pismach. Do dziedzictwa Powstańców odwoływali się niezależni publicyści.

> ***Naród, który zdumiał Europę swą wolą niezależności w powstaniach XIX w. i Powstaniu Warszawskim, nigdy nie zgodzi się być czyimś instrumentem.***
>
> **bp ZDZISŁAW KRÓL**

Sami kombatanci II wojny światowej włączyli się w działania Solidarności. Po wybuchu stanu wojennego uczyli młodszych kolegów zasad konspiracji. Byli łącznikami pomiędzy dwoma nie aż tak odległymi od siebie zrywami niepodległościowymi. Tworzyli też własne formacje, które pomagały internowanym, kolportowały pisma i wspierały działania Solidarności na wielu różnych polach.

Nie tylko idea powstańcza

Odwołania do historii były obecne zarówno w podziemnych pismach, jak i kartkach pocztowych czy znaczkach. Solidarność często korzystała z takich symboli jak orzeł w koronie, portrety marszałka Józefa Piłsudskiego, Tadeusza Kościuszki czy właśnie znak Polski Walczącej.

> PO LATACH FAŁSZOWANIA HISTORII, PRZEINACZANIA FAKTÓW NIE UDAŁO SIĘ REŻIMOWI WYMAZAĆ Z PAMIĘCI I SYMPATII WARSZAWIAKÓW ARMII KRAJOWEJ.

Dziś mówi się często o tym, że ludzie Solidarności to kontynuatorzy idei powstańczej. Na pewno czerpali z doświadczeń i przemyśleń kombatantów. Ale nie tylko. To, co ich różniło, to fakt, że „rewolucja" Solidarności i wywalczenie przez Polskę w 1989 roku demokracji odbyły się w sposób całkowicie pokojowy. Choć wśród działaczy antykomunistycznych ścierały się przez lata różne koncepcje na sposoby walki z komunistyczną władzą, w tym te zakładające radykalne rozwiązania siłowe, fenomen Solidarności to także fakt, że ideologicznie kontynuowano wówczas dzieło Powstańców, ale użyto do realizacji swoich celów zupełnie innych środków. I to połączenie przesądziło być może o zwycięstwie.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Nie wolno nam zapomnieć!

Płonąca ulica Marszałkowska podczas Powstania Warszawskiego

Fot. Wikipedia

Powstańcza opowieść **Jarosława Marka Rymkiewicza** przypomina leżące gdzieś między ulicą Kilińskiego a placem Zamkowym lustro rozbite na setki kawałków. W rozczłonkowanym zwierciadle pisarz przygląda się przede wszystkim sobie, małemu, ośmioletniemu Jarosławowi. Stara się, wzorem połączeń nerwowych w mózgu, ułożyć spójny, logiczny obraz tamtych czasów. Bezskutecznie.

Marcin Darmas

Na stronach „Kinderszenen" Rymkiewicz otwiera dawno niewysuwane szuflady pamięci. Wyciąga z jej odmętów korowody obrazów, przypomina sobie eksplozje rozrywające ciała i dusze, twarze ludzi i zwierząt ogarniętych zgrozą wojny (autor nierzadko stawia między nimi znak równości), które w swoim niepojęciu nie pozwalają odnaleźć jednego wytłumaczenia bądź spójnej siatki znaczeń Powstania Warszawskiego.

Każdy lustrzany odłamek ma swój odrębny sens, każda poszczególna scena, krzyki i cierpienia domagają się oddzielnej egzegezy. Choć nie proszą już o jakąś formę zadośćuczynienia czy sprawiedliwości, lecz jedynie (albo aż) ocalenia od zapomnienia. Między rozbitymi odłamkami szkła wyraźnie pozostawione są wyżłobione przez koszmar wyrwy milczenia. Powstanie zwiastuje utratę wewnętrznej busoli myślowej, każe poecie zostawić puste bądź niedopowiedziane epizody: „tego zdania nie napiszę, domyślcie się sami"; „moja skażona (przez niemiecką wojnę) wyobraźnia widzi wyraźnie [...] najgorsze sny, ale nie będę ich tu opowiadał" albo „mordowali raczej z innego powodu, ich mordowanie miało inny (trochę inny) sens. Ale tym nie będziemy się [...] zajmować". Gdy nie można mówić, należy milczeć.

Oto pierwsza lekcja poety z Milanówka. Wobec niewyobrażalnego i niedającego się wypowiedzieć w żadnym ludzkim języku Rymkiewicz poucza, aby nigdy nie odwracać

eprasa.pl 8a00c38e4c

wzroku. Nie wolno nam pod żadnym pozorem zapomnieć, gdy chodzimy po ulicach tego miasta, iż pod naszymi stopami, pod „ziemią, pod jezdniami i pod chodnikami, pod supermarketami i pod kościołami, pod mieszkaniami i pod piwnicami, są całkowicie dosłownie, wcale nie metaforyczne ruiny, zgliszcza, popioły". Porozrzucane po całym mieście kawałki luster należy zatem traktować z najwyższą powagą. Ponieważ nawet dziś wiernie odbijają nasze oblicza. Bez nich nie rozpoznamy siebie. Poszczerbione fasady kamienic Starego Miasta, a nawet kocie łby na ulicy Żelaznej są elementami miejskiego relikwiarza, gdzie zdeponowany jest głęboki sens polskiej wspólnoty politycznej. Łączy tych, co przeminęli, z tymi, którzy beztrosko spacerują, piją latte na tarasach kawiarni, pracują w szklanych wieżowcach albo podróżują tunelami warszawskich katakumb.

Druga nauka Rymkiewicza brzmi następująco: naród to twór metafizyczny łączący żyjących z umarłymi, to, co było i jest; rodzinne opowieści i kroniki historyczne połączone z żurnalową bieżączką i publicystyczną ekwilibrystyką, odnaleziona moneta albo skórzany rzemyk w podziemiach Pałacu Saskiego. Te elementy łączą się, są nierozerwalne – niczym jeden wspólny kosmos. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W swojej immanentności polski naród zastępuje Rymkiewiczowi nieprzemijalnego ducha, w którego wierzyć nigdy nie potrafił. Z krzyczącego pustką nieba patrzy na nas okrutna konieczność wspólnoty żywych i umarłych. W innym dziele Rymkiewicz pisze wprost, iż ojczyzna może w każdej chwili zażądać od swojego wiernego syna, żeby dla niej umarł: „Ojczyzna może cię wezwać, kiedy zechce – pisze w „Reytanie" – a ty musisz być na to przygotowany".

Rymkiewicz czyni detaliczną archeologię wspomnień bez wyraźnego składu – wydaje się świadomie – aby oddać, czym w istocie było Powstanie. Przy czym pisarz nie owija w bawełnę i stwierdza jednoznacznie, że „Powstanie Warszawskie było największym wydarzeniem w historii Polaków – w całej naszej historii nie było (i pewnie nigdy już nie będzie) większego wydarzenia. Z tego największego wydarzenia w naszej historii wynikają też różne wielkie nauki – potrzeba będzie jeszcze wielu dziesięcioleci, wielu stuleci, żeby się z nim zapoznać, żeby przemyśleć i dobrze zrozumieć".

Wbrew tytułowi – „Kinderszenen" – nie ma w Rymkiewiczowskiej opowieści muzycznej harmonii i spokoju cechującego dziecięcy kosmos. Czas beztroski został mu bowiem na zawsze odebrany przez niemiecką okupację. A w piwnicach chłopięcych wspomnień i podświadomości przyglądamy się zgrozie, zachwianiu prawideł pokojowego współistnienia i bezpowrotnie utraconej niewinności pierwszych lat życia. „Nie mogę powiedzieć, że mam jakieś pretensje do Niemców, że czegoś od nich oczekuję czy czegoś żądam" – pisze z rozbrajającą szczerością Rymkiewicz. I dodaje: „Chciałbym tylko, żeby wiedzieli, co mi zrobili – zniszczyli moje dzieciństwo i zrujnowali moją ośmioletnią wyobraźnię. Została kupa gruzów, kupa trupów, wielkie szambo, wielka dziura wypełniona czarną krwią".

Niczym w „Iliadzie" Rymkiewicz świadomie pomija rozrachunek z błędnymi decyzjami generałów i londyńskiego rządu. Nie zastanawia się, czy Powstanie powinno wybuchnąć, czy nie. Nie czyni buchalterii zysków i strat ani nie podejmuje się rozważań z dziedziny alternatywnej historii. Pytanie: „Co by było, gdyby...?", jest dla Rymkiewicza bezpodstawne. Prawdziwy sens Powstania wymyka się bowiem ludzkiemu rozumowaniu. Polskie losy, ich blaski i nędze, autor „Kinderszenen" lokuje w kręgu misternych zagadek. Ponadprzeciętne zrywy narodowe owiane są, w jego mniemaniu, tajemnicą. Tajemnica ta definiuje trwanie politycznej wspólnoty.

W „Wieszaniu" – co prawda w innym kontekście historycznym – Rymkiewicz opisuje szczególną i, by tak rzec, rdzenną skłonność warszawskiego ludu do szaleństwa wywołanego siłami chcącymi pozbawić Polaków wolności. W Niemcach zaś poeta z Milanówka rozpoznaje odwieczne germańskie zło oraz teutoński gen Tanatosa. Eschatologicznych posłańców przysłanych nad Wisłę przez Mojrę, czyli Przeznaczenie, potężniejsze niż my wszyscy i wszyscy pogańscy bogowie. „Nie wiedzieli, co to jest, i my też nie wiemy" – stwierdza lakonicznie.

NIE WOLNO NAM POD ŻADNYM POZOREM ZAPOMNIEĆ, GDY CHODZIMY PO ULICACH TEGO MIASTA, IŻ „POD NASZYMI STOPAMI SĄ CAŁKOWICIE DOSŁOWNIE, WCALE NIE METAFORYCZNE RUINY, ZGLISZCZA, POPIOŁY".

eprasa.pl 8a00c38e4c

Pod murami Troi, podobnie jak u stóp Barbakanu, zarówno dwa i pół tysiąca, jak i osiemdziesiąt lat temu, szalała ta sama „Hybris" nazywana przez Greków pieszczotliwie „wściekłą suką". Owa pani nieposkromionej żądzy zemsty i mordu, która zwiastuje wejście w przestrzeń pozbawioną współczucia. Raz wprawiona w ruch mieli i morduje wszystko, co napatoczy się w jej szpony – bez rozróżnienia. Nigdy nienasycona pogrąża w otchłani chaosu i szaleństwa zarówno przyrodę, zwierzęta, jak i ludzi. Aby zobrazować bezmiar germańskiej „Hybris", Rymkiewicz poświęca długi rozdział zagładzie osób starszych na Starówce przy ulicy Przyrynek: „Rozstrzeliwanie, oblewanie benzyną i palenie, zasypywanie gruzami, zrównywanie z ziemią, anihilowanie niekompletnych piwnicznych istot, a także wszystkich istot niepotrzebnych i pokracznych (otóż to – staruszków!), to wszystko mogło prowadzić [...] ku uporządkowaniu, czyli zlikwidowaniu tego, czego niemiecki umysł [...] nie znosi, nie toleruje, nie wytrzymuje". Dla niemieckiej rasy, pisze Rymkiewicz, pojęcia zostały wykoślawione, odwrócone. Chaos to porządek. Życie to śmierć. A litość to okrucieństwo.

Można się zżymać na skrajność takiego podejścia, lecz według autora „Kinderszenen" polski powstańczy obłęd stanowił niewspółmierną odpowiedź na szaleństwo Niemców. „To było coś nie do pojęcia, coś niewytłumaczalnego, coś tajemniczego, coś właśnie szaleńczego" – stwierdza Rymkiewicz. Powstanie Warszawskie okazało się rozpędzoną śmierciarką rzeczywistości mielącą ludzi bez rozróżnień na dzieci, kobiety, niedołężnych, cywilów i żołnierzy. Jej potworność okazała się totalna, wszechogarniająca. W „Iliadzie" przerażeni okrucieństwem ludzi są nawet władcy Olimpu. Śmiertelnikom udało się rozregulować mechanizm rzeczywistości, harmonijny, boski porządek. Trojańskie oblężenie spotęgowane łzami Achillesa gniotło ludzi, zwierzęta, połacie ziemi. Ślepo rozrywało na strzępy – „swoich" i „obcych". Zakwasiło ziemię, a przepływające przez miasto Skamander zamieniło się w ściek żółci i krwi. Wszystkie elementy „żywe" zdaje się wychodziły z odwiecznego milczenia, aby zaświadczać – jak opisuje Homer – o ludzkim obłędzie. Walczący powstańcy byli przygotowani na śmierć, ale przed zakratowanym kolektorem marzyła im się zieleń soczystych, nadwiślańskich traw i oślepiający blask słońca. Chcieli żyć albo honorowo zginąć w walce – uniemożliwiono im i jedno, i drugie. Przyglądający się zbezczeszczeniu zwłok Hektora Posejdon nie potrafi pojąć „lwiej srogości" Achillesa. Przeklęci będą stronnicy Achajów. Utrudniony zostanie powrót Odysa do Itaki. Posejdon wznieci przeciwko Itakaninowi morza, utopi załogę jego statku, poniży go wielokrotnie w drodze do domu. Resztę znamy. Powrót do normalności trwać będzie ponad dekadę. Odyseusz będzie musiał się mierzyć z licznymi przeciwnościami złowrogiego losu. Na koniec czekać go będzie jeszcze jedna walka. Będzie musiał urządzić tym, którzy zajęli jego dom, plądrowali podczas jego nieobecności plony i zabiegali o rękę Penelopy, krwawą łaźnię. Pod tym względem nasze czasy niczym nie różnią się od czasów naszych greckich antenatów. Ciągotki rewanżystowskie powinny zostać zastąpione myślami stanowczymi, aby mógł zapanować rozsądek. Nie wolno nikomu zapomnieć: ani łez Achillesa, ani ich konsekwencji. Na mocy tego samego mechanizmu winniśmy zebrać – poucza Rymkiewicz – każdy, nawet najmniejszy kawałeczek powstańczego lustra z warszawskiego bruku jak najświętszą relikwię, aby nigdy nie zapomnieć, jakie jest nasze prawdziwe zwierciadło wspólnoty.

WALCZĄCY POWSTAŃCY CHCIELI ŻYĆ ALBO HONOROWO ZGINĄĆ W WALCE – UNIEMOŻLIWIONO IM I JEDNO, I DRUGIE.

DRUGA NAUKA RYMKIEWICZA BRZMI NASTĘPUJĄCO: NARÓD TO TWÓR METAFIZYCZNY ŁĄCZĄCY ŻYJĄCYCH Z UMARŁYMI.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Fot. T. Gutry

Czy młoda prawica nie lubi powstań?

Choć mogłoby się wydawać, że zbrojne zrywy przeciw okupantom – jako symbole bezkompromisowej walki o wolność – powinny **szczególnie przemawiać** do młodego pokolenia patriotów, wśród wielu jego przedstawicieli wiara w ich sensowność przeżywa dziś wyraźny kryzys.

Ludwik Pęzioł

Dla porządku – i na potrzeby dalszego wywodu – warto doprecyzować, co rozumiemy przez „starą” i „młodą” prawicę w Polsce. Ta pierwsza formowała się głównie w oparciu o wiarę, myśl i obyczajowość katolicką. Często wywodziła się z antykomunistycznej opozycji zapatrzonej w Zachód, ale sam fakt, że dorastała jeszcze w realiach PRL-u, pozostawił ślad także w jej sposobie myślenia. Z kolei „młoda prawica” dojrzewała już w warunkach gospodarki rynkowej – jest bardziej indywidualistyczna, materialistyczna, często jedynie kulturowo katolicka. I właśnie ta młoda formacja wyrastała z trzech nurtów, które w różnym stopniu – ambiwalentnie, sceptycznie lub wręcz wrogo – odnosiły się do historycznych powstań.

Korwiniści i postkorwiniści

Wśród konserwatywnych polityków i publicystów praktycznie

eprasa.pl 8a00c38e4c

co drugi miał w młodości „epizod korwinistyczny" – niekiedy krótkotrwały, ale zawsze znaczący. I choć dziś Janusz Korwin-Mikke znalazł się na politycznej emeryturze, a jego polityczne sukcesy trudno uznać za imponujące, wpływu, jaki wywarł na myślenie młodego pokolenia, nie sposób lekceważyć. Przyczyna jest prosta: to on przez lata dominował na YouTubie, który – zwłaszcza kilkanaście lat temu – był dla wielu młodych głównym oknem na świat polityki. To tam Korwin wyjaśniał rzeczywistość po swojemu, nie omijając też swojej osobliwej, spiskowej interpretacji powstań. W jego narracji Powstanie Warszawskie było dziełem sowieckich agentów uplasowanych w dowództwie AK, a decyzja o jego rozpoczęciu – zbrodnią, za którą należałoby postawić winnych przed sądem.

Z tym podejściem szedł w parze liberalny kult zwycięstwa: świętujemy tylko wygrane bitwy i powstania, o przegranych najlepiej zapomnieć. Chwała zwycięzcom, biada zwyciężonym. Taka narracja była dla wielu młodych odświeżająca – naruszała tabu, więc działała jak magnes. I szybko się utrwaliła w kolejnych pokoleniach „wolnościowców". Padło to na podatny grunt. Młoda prawica indywidualistyczna – widząca społeczeństwo raczej jako sumę jednostek niż wspólnotowy organizm – nie była szczególnie wrażliwa na bardziej subtelne funkcje, jakie może spełniać kult powstań. Nie dostrzegała na przykład ich potencjału odstraszającego – przecież potencjalny agresor musi wkalkulować w swoje działania to, że podbicie Polski oznaczać będzie dla niego długotrwałą udrękę. Nie mówiąc już o pochwale poświęcenia.

No właśnie, w liberalno-konserwatywnej optyce „poświęcenie" wydawało się podejrzane: ojczyzna to raczej firma, inwestycja, „dobry interes", a nie coś, za co warto przelewać krew z zasady. Metafizykę zastąpiło myślenie lichwiarskie. Dlatego konserwatywno-liberalne kalkulacje były proste: wkład versus zwrot. W tym ujęciu zdecydowana większość powstań „się nie opłacała", a więc należało wykorzenić ich kult jako szkodliwy. Jeśli dodamy do tego znaną sympatię korwinistów do Rosji (byle nie sowieckiej, bo była socjalistyczna), to nie dziwi też niechęć wobec zrywów wymierzonych w carat.

W LIBERALNO-KONSERWATYWNEJ OPTYCE „POŚWIĘCENIE" JEST PODEJRZANE: OJCZYZNA TO RACZEJ FIRMA, INWESTYCJA, „DOBRY INTERES", A NIE COŚ, ZA CO WARTO PRZELEWAĆ KREW DLA ZASADY.

Narodowcy

Młodzi nacjonaliści – zwłaszcza ci wywodzący się z nurtu chrześcijańskiego – niewątpliwie górowali nad odłamem libertariańskim i konserwatywno-liberalnym pod względem rozumienia mechanizmów wspólnotowych. Ich podejście do powstań było więc bardziej wyrafinowane. Krytykowali – rzecz jasna – „wytracanie tkanki biologicznej narodu", ale nie ignorowali przy tym historycznego kontekstu, uwarunkowań chwili, tego, co było realne lub przynajmniej mogło się takim wydawać. Malwina Gogulska, publicystka „Nowego Ładu", utożsamiająca się z ideą narodową, a zarazem – co w tym środowisku nie jest regułą – entuzjastka powstań (zwłaszcza listopadowego), tak mówi o narodowym stanowisku wobec Powstania Warszawskiego: „Narodowe Siły Zbrojne, zasilone w dużej mierze przez ludzi o poglądach endeckich, były przeciwne Powstaniu, jednak kierowała nimi tradycyjna idea patriotyzmu, która wyraża się w haśle: «Śmierć wrogom Ojczyzny!», nawet jeśli musieli ją nieść w wir walki beznadziejnej i nie rokującej żadnego zwycięstwa. Dziś naszym obowiązkiem jest jedynie nie dopuścić do ponownego testowania – ukształtowanego przez tragiczną historię – honoru Polaków".

Widać zatem, jak w podejściu narodowym prymat walki o ojczyznę ściera się z wymogami realizmu. Niemniej jednak wcześniej wspomniane „poświęcenie" jest tu wciąż czczone. Znajduje to wyraz choćby w corocznych obchodach rocznicy Powstania Warszawskiego organizowanych przez środowiska narodowe. Krytyka dowództwa – jako oderwanego od realiów politycznych – bywa tam obecna, podobnie jak ocena samego zrywu jako tego, który nie osiągnął swoich politycznych celów, i nacechowanego pewną naiwnością. Mimo to symbolika Powstania jest chętnie adaptowana jako narzędzie afirmacji sprzeciwu wobec wrogów – dawnych i współczesnych. Najtrafniejszym określeniem postawy narodowców byłaby więc: ambiwalencja z przewagą szacunku.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Polit-niepoprawni

W kręgach kojarzonych z prawicą wyrósł jeszcze jeden gracz, mający istotny wpływ na młode pokolenie – środowisko wyznające ideologię politycznej niepoprawności. To skrajna, a przy tym często irracjonalna reakcja na dominację political correctness w świecie Zachodu. Z zasady sprzeciwiają się wszystkiemu, co „mainstreamowe" i co wzbudza „stadne" emocje. Kryterium doboru poglądów nie jest tu ani ich sensowność, ani oparcie w faktach – liczy się głównie to, jak mocno uderzają one w „powszechnie obowiązującą narrację". Kierowani są prostym, nieraz wręcz prymitywnym negatywizmem. Drażniąc „masy" i nieuznawane przez siebie autorytety, zaspokajają różne potrzeby – od psychologicznych po finansowe, jeśli akurat są animatorami ruchu, kupczącymi ostentacyjną niepoprawnością. Można powiedzieć, że to czysta esencja dogmatycznego antysystemu, który nie wybrzydza na broń – ważne, by celować w system. I choć może trafniejsze byłoby określenie ich mianem antylewicy albo antyestablishmentu, niż prawicy sensu stricto, to sami uważają się za jedyny prawdziwy wzorzec cnót konserwatywnych – więc, z pewną łaskawością, uwzględnijmy ich w tym zestawieniu.

Nietrudno się domyślić, że obchody powstań i cześć im oddawana – jako „mainstreamowe" i „stadne" – muszą ich irytować. Epatują więc krytyką zrywów, licytując się na jak najmocniejsze określenia w rodzaju „hekatomba" czy „narodowy horror". Z typowym dla siebie poczuciem wyższości nad „głupią, niemyślącą samodzielnie większością" uwielbiają retroaktywnie pouczać powstańców i ich dowódców, prezentując z perspektywy wygodnego fotela najlepsze możliwe rozwiązania, których nikt wcześniej – rzecz jasna – nie dostrzegł. Insurekcjonizm w tym środowisku cieszy się jeszcze gorszą opinią niż wśród korwinistów. Obchody rocznic są dla nich znakomitą okazją, by – w ogólnopolskich mediach – wygłosić jak najbardziej kontrowersyjne i najmniej dyplomatyczne tezy. A im większe oburzenie, tym lepiej: każde słowo potępienia dodaje polit-niepoprawnym dogmatykom energii, przekonując ich, że znowu mają rację, a cały świat wyznaje „jedyną słuszną wersję" podaną do wierzenia przez... (i tu można wstawić ulubionego ukrytego wroga, który pociąga za sznurki).

Stosunek do Powstania Warszawskiego obnaża głębokie podziały wśród prawicy młodego i średniego pokolenia. Korwiniści widzą w zrywach kosztowną naiwność, narodowcy – dramatyczny wybór między honorem a realizmem, a polit-niepoprawni szydzą z nich jako stadnego rytuału. Powstańcy coraz rzadziej są źródłem moralnej inspiracji, coraz częściej – celem dekonstrukcji i obiektem politycznych rozgrywek. Przyroda jednak nie znosi próżni. Jeśli ten trend się utrzyma, kult Powstania Warszawskiego może wkrótce paść łupem liberalnej lewicy... na własne życzenie prawicy.

KULT POWSTANIA WARSZAWSKIEGO MOŻE WKRÓTCE PAŚĆ ŁUPEM LIBERALNEJ LEWICY... NA WŁASNE ŻYCZENIE PRAWICY.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ | WASIUKIEWICZ

eprasa.pl 8a00c38e4c

To nie jest zwykły pomnik

Po raz pierwszy rocznicę Powstania Warszawskiego obchodzono w Słupsku w 1945 roku – 80 lat temu – u stóp **prowizorycznego jeszcze** pomnika, wzniesionego z inicjatywy księdza Jana Ziei.

Barbara Sułek-Kowalska

Po raz pierwszy w Słupsku odbyły się uroczystości 1 sierpnia w skali, oprawie i zaangażowaniu władzy i społeczeństwa – w przeciwieństwie do tego, co było dotychczas – pisał w 1981 roku pan Franciszek Szafranek, Powstaniec Warszawski, ps. „Frasza", który tamte działania księdza Ziei pamiętał, ponieważ brał w nich udział. On i wielu słupszczan z warszawskim rodowodem.

A w 1981 roku, kiedy zajaśniała Solidarność, rozbudziły się nadzieje na normalne życie. „Frasza" w liście do mnie opisał więc z detalami uroczystość, która odbyła się wtedy „w Urzędzie Wojewódzkim w dużej Sali Rady Narodowej – byli sekretarze PZPR, członkowie prezydiów ZSL i SD oraz FJN i kierownictwo Solidarności – wnioskodawcy tej formy uroczystości – i 40 osób zaproszonych gości kombatantów". Pisał lapidarnie: „przemówienia – toast winem za powstańców i moje wystąpienie o udziale w powstaniu. Wymarsz pod pomnik".

Sztandary Solidarności

Pomnik Powstańców Warszawskich: pierwszy i przez blisko pół wieku jedyny w Polsce. – Było nas tutaj tylu warszawiaków – opowiadał „Frasza" – i była wspólna myśl: żeby w rocznice Powstania mieć gdzie pójść, żeby był jakiś znak tamtych czasów. Dla nas i dla naszych dzieci.

Już więc w 1945 roku, z inicjatywy księdza Jana Ziei, legendarnego kapelana Powstania Warszawskiego, stanęło pierwsze upamiętnienie Powstańców Warszawskich: kawałek muru, krzyż, napis.

– Gdybyśmy się wtedy za wiele pytali, to pewnie by tego pomnika nie było – wyjaśniał pan Szafranek.

KIEDY TYLKO W SŁUPSKU WYBUCHŁA SOLIDARNOŚĆ, TO WŁAŚNIE JEJ LUDZIE ZARAZ UPOMNIELI SIĘ O POWRÓT JEZUSA W PŁASKORZEŹBIE.

Powstał bez żadnej dokumentacji, ale za to jego istnienie zostało odnotowane w Miejskim Archiwum, do którego trafiłam w poszukiwaniu jego dziejów w 1981 roku.

Ale wracam do listu „Fraszy", który pisał w nadziei dziejowej zmiany, traktując list jako uzupełnienie mojego reportażu przygotowanego na 1 sierpnia tamtego roku w „Tygodniku Studenckim ITD": „na placu przed pomnikiem 5 komp.wojska, 3 ze sztandarami, orkiestra, sztandary ZBOWiDu, Związku Inw.Woj. i Solidarności. Moc ludzi. Orkiestra gra hymn, przemówienie bardzo tym razem obiektywne, 3xsalwa, składanie wieńców b.dużo. Ogólnie nadzwyczajnie" – pisał z satysfakcją [pisownia oryginalna – B.S.K.].

Jezu, ratuj, bo giniemy

Pełnomocnikiem rządu był w 1945 roku tramwajarz warszawski Jan Kraciuk – i umiał podejmować decyzje. Kiedy ksiądz Jan Zieja od ołtarza zaproponował nazwę plac Powstańców Warszawskich – zamiast placu Powstania Warszawskiego – od ręki ją zatwierdził.

Prowizoryczny pomnik był w coraz gorszym stanie. „Jakkolwiek myśl wyrażona przez ten symbol jest piękna i wzniosła, jednak sam obiekt mógł służyć jedynie tylko na chwilowe wyrażenie tej myśli" – pisał do władz miejskich przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika Powstańców Warszawskich w Słupsku – kolejny warszawiak. Komitet w szybkim tempie doprowadził do realizacji pomnika z prawdziwego zdarzenia – wspaniała uroczystość odbyła się 15 września 1946 roku. Pomnik był przedmiotem dumy i chwały.

– Nierzadko ludzie, przechodząc tamtędy, zdejmowali czapki – podkreślali moi rozmówcy. – To nie jest

eprasa.pl 8a00c38e4c

Fot. autor

zwykły pomnik, to jest jakby stacja krzyżowa.

Integralną częścią pomnika jest płaskorzeźba „Jezu, ratuj, bo giniemy", która expressis verbis mówiła w 1946 roku, że chodzi o Powstanie Warszawskie, niezależnie od napisu „Bohaterom Warszawy Słupsk".

Zarówno pomnik, jak i płaskorzeźba są dziełem warszawskiego artysty Jana Małety (1890–1962), który – inaczej niż inicjatorzy budowy – nie mieszkał po wojnie w Słupsku, choć żyli tu jego powinowaci. I to w ich szopie przy ulicy Szczecińskiej powstawał w 1946 roku pomnik – na tle poszarpanego warszawskiego – w domyśle – muru leży powstaniec, a biały orzeł składa mu ma czole pocałunek czy może hołd. Na murze artysta umieścił płaskorzeźbę z napisem: „Jezu, ratuj, bo giniemy. «Powstanie», Warszawa, 1 VIII – 2 X 1944".

Płaskorzeźbę przywiózł ze sobą z Warszawy. Tworzył ją nocami w domu na Boernerowie [dziś osiedle Warszawy], patrząc na płonące miasto – o czym zdążyła mi jeszcze w 1981 roku opowiedzieć wdowa po rzeźbiarzu, pani Alodia Małetowa. Zrobił kilka gipsowo-betonowych odlewów. Jeden zawiesił natychmiast po wyjściu Niemców na kawałku ocalałego warszawskiego muru, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich, o ile piętrzące się ruiny można było wtedy nazwać „skrzyżowaniem". Zawiesił – można przyjąć – z nadzieją, że znowu przyjdą tu ludzie, do których sztuka przemówi.

W Słupsku przemówiła z wielką siłą. I może dlatego miasto nigdy nie pogodziło się z brutalną i bezczelną podmianą płaskorzeźby w 1962 roku – bo kradzieży nie było, skoro „nieznani sprawcy" przynieśli ją zawiniętą w szmaty prosto do muzeum – oddali w dobre ręce, można powiedzieć, bo kierowniczka muzeum, Maria Zaborowska, też była Powstańcem Warszawskim.

W pomnik zaś wmurowano herb Słupska, co było – poza wszystkim innym – pogwałceniem praw autorskich. Nie było żadnych artykułów w miejscowej gazecie, żadnych pytań w miejskiej radzie, co najwyżej cichcem wymieniane uwagi między ludźmi wzajemnego zaufania. Żeby nikt nie usłyszał. Może tylko kwiatów i świeczek było w Zaduszki więcej, no i rarytasem stały się pocztówki, na których pomnik był jeszcze „tamten".

Miasto nie zapomniało. Przewodniczka PTTK Krystyna Marczyk zawsze oprowadzała wycieczki z wycofaną z obiegu pocztówką i mówiła:

eprasa.pl 8a00c38e4c

– Kiedy wrócą mądrzejsze czasy, to pomnik będzie taki jak na pocztówce.

W Warszawie do domu Jana Małety systematycznie „wpadali” ubecy – o czym opowiadał mi po latach syn artysty – i zabierali wszystko, co wiązało się z płaskorzeźbą, zwłaszcza obrazki-cegiełki.

Krzyż tu jeszcze wróci

Zwyczajni ludzie nie mogli wiedzieć, że już w 1958 roku – bardzo szybko po październikowej chwili oddechu – Biuro Polityczne KC PZPR zatwierdziło akcję zdejmowania krzyży w miejscach uznanych przez partię za publiczne. O tej „dekrucyfikacji” powiedział mi prof. Jan Żaryn, kiedy już w wolnej Polsce poszukiwałam dalszych fragmentów historii słupskiego pomnika i płaskorzeźby „Jezu, ratuj, bo giniemy”.

W 1981 roku nie miałam o tym pojęcia, a i moi rozmówcy o tym nie wspominali, indagowany w tej sprawie dawny sekretarz partii w mieście zbył mnie zaś kilkoma słowami. Może już wiedział, jak się zakończy nasz karnawał wolności i poszukiwanie prawdziwej historii?

I wiedział przecież, że kiedy tylko w Słupsku – jak w całej Polsce – wybuchła Solidarność, to właśnie jej ludzie zaraz upomnieli się o powrót Jezusa w płaskorzeźbie. Koło Przewodników PTTK – w większości członkowie „S” – zgłosiło natychmiast tę sprawę do władz miasta, choć w samej Solidarności uważano, że zmianę płaskorzeźby wymusiła dopiero demonstracja rolników z wiejskiej Solidarności.

„POMNIK TEN MUSI BYĆ I DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ SYMBOLEM WOLNOŚCI”.

Plakat z 1946 r. zapraszający na uroczystość odsłonięcia pomnika ku czci Powstańców Warszawskich w Słupsku odnaleziony przez autorkę w Archiwum Państwowym w Koszalinie Oddział w Słupsku w 1981 r.

OBYWATELE!

W drugą rocznicę Powstania Warszawskiego, Słupsk miasto daleko wysunięte na terenach Ziem Odzyskanych, postanowiło złożyć

hołd bohaterstwu i męczeństwu Naszej Stolicy.

Widomym znakiem tego hołdu będzie ufundowany wspólnym wysiłkiem społeczeństwa Słupskiego

Pomnik ku czci Powstańców Warszawskich w Słupsku

PROGRAM

– I tak uważamy do dzisiaj – mówi przewodniczący słupskiej „S” Dariusz Piankowski.

Płaskorzeźba w 1981 roku wróciła – ale zaraz na następnych kilka lat zapadła noc stanu wojennego, nad pomnikiem także.

Warszawski mur

Od lat dziewięćdziesiątych mówiłam o pomniku w radiu, pisałam reportaże i felietony. W Słupsku nie brakowało opinii, że płaskorzeźba jest inna. Niby też gipsowy odlew, ale napis jakiś niewidoczny. Zniszczył się w magazynie? Upominałam się o powrót oryginalnej płaskorzeźby. Odzywali się wspaniali ludzie, że wspomnę tylko harcersko-solidarnościowe małżeństwo Hanny i Jerzego Miecznikowskich z Łodzi, którzy pamiętali płaskorzeźbę „Jezu, ratuj, bo giniemy” na czerwonym murze w Alejach Jerozolimskich, inni wskazali ją w trzech warszawskich kościołach, jeszcze inni przynieśli do redakcji obrazek-cegiełkę na odbudowę kościołów z 1948 roku, z płaskorzeźbą właśnie.

Tymczasem w Słupsku pomnik wołał o konserwację, a nawet rewitalizację. Latami trwały dyskusje z konserwatorami. Wreszcie Wojciech Małeta, syn artysty, też rzeźbiarz, zaproponował model płaskorzeźby „Jezu, ratuj, bo giniemy” z brązu, jedyny wykonany przez ojca, jako podstawę do rewitalizacji. W 2023 roku dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego prace dobiegły końca – pomnik przemawia teraz z nową siłą. Także w Warszawie wisi dziś płaskorzeźba z brązu, według jedynego modelu, który zostawił twórca. Gipsowe odlewy można jeszcze znaleźć w kościele Świętego Krzyża i w kościele Bonifratrów.

A w Słupsku obok pomnika pojawił się w tym roku premier Jan Olszewski, też powstaniec warszawski, ps. „Orlik” – z inicjatywy miejskich radnych z Klubu PiS stanęło tam jego popiersie, ufundowane pospołu przez miasto i IPN.

„Pomnik ten zresztą musi być i dla przyszłych pokoleń symbolem Wolności” – pisał w 1946 roku przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika. Nie wiedział, że pisze ten apel i dla nas.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – W tym numerze „TS" przypominamy, jak ważne było i jest dla Polaków Powstanie Warszawskie, więc mamy też Pańskie „powstańcze" zdjęcie.

Tomek: – Tak, powstało w 2011 roku podczas obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego.

– To kwatery powstańcze na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

– A przy nich stoi starsza pani, która również prawdopodobnie brała udział w Powstaniu.

– Pan bywa 1 sierpnia na Powązkach od lat osiemdziesiątych. Fotografował Pan m.in. głośne obchody 40-lecia Powstania.

– Bywam na Powązkach co roku. Pewnego razu zobaczyłem salutującego człowieka w amerykańskim mundurze. Mówił, że służył w kompanii młodych. Zapytałem, czy zna Dolka Wróbla (to brat cioteczny mojej mamy). Odpowiedział: „To mój przyjaciel".

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 8a00c38e4c

Fot. Adobe Stock

Rząd dławi PŁACĘ MINIMALNĄ

Co piąty pracownik w Polsce otrzymuje wynagrodzenie minimalne. To łącznie **ponad 3 mln osób**. Rząd chce podnieść wysokość płacy minimalnej w przyszłym roku do 4806 zł brutto, czyli kilka złotych więcej niż 3600 zł na rękę.

Maciej Szlinder

To podwyżka o 140 zł względem obecnej stawki minimalnego wynagrodzenia (4666 zł brutto), co stanowi 3%. To najniższy procentowy wzrost od ponad dwudziestu lat.

Zerowa sprawczość Nowej Lewicy

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej, którym zarządza ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z Nowej Lewicy, proponowało wyższą płacę minimalną o ponad 200 zł od rządowej, a dokładnie 5020 zł. Tego typu pomysł, wyższy nawet od propozycji strony związkowej (5015 zł), to kolejny pusty gest rządowej lewicy (obok między innymi deklaracji o obronie finansowania Państwowej Inspekcji Pracy – ostatecznie obniżonego względem poprzedniego roku). Chce ona pokazać się jako strona walcząca o pracowników, ale tak naprawdę niewiele może, bo stanowi kwiatek do kożucha liberalnego rdzenia koalicji rządzącej. Jej sprawczość w tych sprawach (i wielu innych) należy uznać za praktycznie zerową.

Kwota rządowa jest niewiele większa (o 47 zł) niż propozycja strony pracodawców, wynosząca 4759 zł. Prezes Związku Pracodawców Business Centre Club Łukasz Bernatowicz ocenił zresztą rządową propozycję jako „zbliżoną do oczekiwań" BCC.

Ponieważ Rada Dialogu Społecznego nie osiągnęła porozumienia [pisaliśmy o tym przed tygodniem – red.], to rząd samodzielnie wyznaczy wysokość płacy minimalnej. Ma na to czas do 15 września – do tej daty rozporządzenie dotyczące minimalnego wynagrodzenia musi zostać ogłoszone w Dzienniku Ustaw.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Wzrost płacy minimalnej jedynie o 3% oznacza, że realnie jej wartość spadnie. Rząd przewiduje bowiem, że inflacja w 2026 roku wyniesie 3,8%. Przedstawione na początku miesiąca prognozy NBP są niższe, ale wciąż przekraczają 3%. Mniej niż inflacja ma wzrosnąć także minimalna stawka godzinowa – z 30,50 zł brutto do 31,40 zł brutto, czyli o 2,95%.

Czy płaca minimalna jest w Polsce wysoka?

Polska plasuje się w środku krajów Unii Europejskiej pod względem wysokości płacy minimalnej. Zajmujemy 9. miejsce na 22 kraje, które posiadają taki instrument regulacji wynagrodzeń. W odniesieniu do średniego wynagrodzenia w maju (8670,51 zł) płaca minimalna w 2025 roku stanowi 53,8%.

To zdaniem pracodawców za dużo. Prof. Jacek Męcina, doradca zarządu Konfederacji Lewiatan, uważa, że docelowo ten wskaźnik referencyjny powinien wynosić 50%. Agnieszka Maria Majewska, rzecznik małych i średnich przedsiębiorstw, uznaje nawet, że to maksymalny akceptowalny poziom. Jeszcze w 2024 roku Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej proponowało, żeby relacja między płacą minimalną a średnim wynagrodzeniem była docelowo wyższa i wynosiła 55%. Ta propozycja spotkała się z poparciem związków zawodowych. Jednak i tutaj Andrzej Domański, minister finansów, stanął całkowicie po stronie pracodawców i uznał, że to ich propozycje są słuszne, a lewicowej ministry i związków – nie.

Jakimi argumentami posługują się ci, którzy dążą do obniżenia realnej wartości płacy minimalnej?

Płaca minimalna a bezrobocie

Te argumenty są tożsame z argumentami krytykującymi płacę minimalną w ogóle. I możemy je usłyszeć w debacie publicznej od samego początku pojawienia się tego narzędzia, czyli od końca dziewiętnastego wieku. Pierwsza oficjalna powszechna regulacja minimalnego wynagrodzenia została wprowadzona bowiem już w 1894 roku w Nowej Zelandii. W Polsce płacę minimalną mamy od 1956 roku, ale w warunkach kapitalistycznych spieramy się o nią oczywiście od transformacji ustrojowej.

Od jej początku zarzucano, że to rozwiązanie niepotrzebnie ogranicza działanie wolnego rynku, co skutkuje zwiększeniem poziomu bezrobocia. Ponieważ rynek pracy kieruje się prawem popytu i podaży, argumentowano, że rząd, podnosząc cenę pracy, zmniejsza na nią popyt. Ale pracownicy nie są towarem jak każdy inny. Podaż i popyt na pracę nie są od siebie niezależne. Większe płace to także większy popyt na wytwarzane przez pracowników towary i usługi. A zatem także potrzeba zwiększenia zatrudnienia. Zbierane od lat dane empiryczne jasno wskazują, że płaca minimalna wcale nie prowadzi do zwiększenia poziomu bezrobocia. Potwierdzają to także międzynarodowe instytucje takie jak choćby Bank Światowy. Dalsze podnoszenie jej w Polsce także nie będzie miało takiego wpływu, więc nie trzeba ograniczać jej realnej wartości tak, jak chce to zrobić rząd.

Złudne odwołania do wydajności pracy

Przeciw płacy minimalnej pojawia się także argument o „niezatrudnialności". Utrzymuje się, że część osób zarabiających obecnie płacę minimalną po jej podniesieniu wypadnie z rynku pracy, ponieważ nie wytwarzają oni takiej wartości, żeby ich zatrudnienie było opłacalne. Często ten argument uzupełnia się o wskazanie, że to młodzi pracownicy na początku swojej drogi zawodowej nie mogą właśnie na nią wejść, ponieważ od razu muszą zarabiać płacę minimalną, a jeszcze nie są na tyle wydajni, by warto było im ją zapłacić.

Osoby stosujące ten argument nie widzą, że oferowanie młodym pracownikom niewystarczających na godne funkcjonowanie płac oznacza, że muszą dłużej być dotowani przez swoich rodziców. Nie wszystkich na to stać, więc już na starcie tworzymy dodatkowe nierówności społeczne, które będą się reprodukować w dalszej części życia. Co więcej, późniejsze usamodzielnienie się to także mniejsze szanse na zakładanie rodzin. Płaca minimalna sprzyja zatem nie tylko redukcji nierówności, lecz także zmniejsza problemy demograficzne.

Co więcej, argument o niskiej wydajności pracy niektórych

POD WZGLĘDEM WYSOKOŚCI PŁACY MINIMALNEJ W UE ZAJMUJEMY 9. MIEJSCE NA 22 KRAJE, KTÓRE POSIADAJĄ TAKI INSTRUMENT REGULACJI WYNAGRODZEŃ.

eprasa.pl 8a00c38e4c

pracowników jest o tyle wątpliwy, że często trudno jest ją dokładnie określić na poziomie jednostki, szczególnie że ogromną część pracy wykonujemy w mniejszych lub większych zespołach. Wydajność nie zależy wyłącznie od zdolności pracownika, ale także od tego, na ile rozwinięte technologicznie są narzędzia pracy, które zapewnia mu zatrudniający, i od całej struktury instytucjonalnej. W świecie bez patentów i monopoli praw własności intelektualnej praca biotechnologów czy twórców oprogramowania byłaby znacznie mniej wartościowa. Praca specjalistów od giełdy i pracowników sektora finansowego warta byłaby znacznie mniej przy obowiązującym podatku od transakcji finansowych. Wydajność w sektorze usług, w którym płace minimalne są częste, w ogóle jest bardzo trudna do dokładnego określenia.

Wreszcie przekonanie o tym, że rynek naturalnie wiąże wytwarzaną przez pracownika wartość z poziomem jego zarobków, jest całkowicie fałszywe. Od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku na zachodzie, a od dziewięćdziesiątych w Polsce, wzrost płac nie nadąża za wzrostem wydajności pracy. Większą część wytworzonej wartości zgarniają czerpiący swój dochód z zysków, a mniej ci, którzy otrzymują płace. Hamowanie wzrostu płac, w tym płacy minimalnej, nie służy zatem zachowaniu jakiejś równowagi, ale zachowaniu pozycji właścicieli kapitału.

Ceny i koszty

Trzecim argumentem przeciwników płacy minimalnej lub jej realnego podwyższania jest wskazanie na wzrost poziomu cen. Ich zdaniem większe koszty pracy przedsiębiorcy przerzucą po prostu na klientów. Jednak takie myślenie wyklucza całkowicie możliwość ograniczenia jednostkowej marży uzyskiwanej na wytwarzanym produkcie czy oferowanej usłudze. A przy zwiększeniu produkcji przy większym popycie pojawia się przecież na to przestrzeń.

Czwartym argumentem przeciwko podwyżce płacy minimalnej jest straszenie upadkiem firm, których nie będzie stać na płacenie pracownikom więcej. Dotyczy to wyłącznie tych firm, które opierają się na najniżej opłacanych pracownikach. Podwyżki mogą być bodźcem do zmian modelu biznesowego, innowacji technicznych i organizacyjnych, a tym samym mają charakter rozwojowy.

> GOSPODARSTWA DOMOWE O NIŻSZYCH ZAROBKACH PRZEZNACZAJĄ PRAKTYCZNIE WSZYSTKIE SWOJE DOCHODY NA KONSUMPCJĘ.

Koszty podnoszenia płacy minimalnej dotyczą także sektora publicznego. W nim od lat średnie płace rosły znacznie wolniej od wzrostu płacy minimalnej. W efekcie wielu pracowników budżetówki zarabia dzisiaj właśnie najniższą krajową. Stąd Ministerstwo Finansów, broniąc swoich propozycji, argumentuje wprost, że wyższa płaca minimalna stanowi zagrożenie dla finansów publicznych. A te, wobec narzuconej przez Unię Europejską procedury nadmiernego deficytu i po przyjęciu przez rząd szybszej ścieżki wychodzenia z deficytu, znajdują się w nienajlepszym stanie.

Krótkowzroczność rządu

To właśnie przypodobywanie się Brukseli oraz liberalne faworyzowanie pracodawców względem pracowników odpowiadają za stanowisko rządu. Ignoruje on tym samym wiele zalet wynikających z podnoszenia realnej płacy minimalnej, takich jak zmniejszanie poziomu ubóstwa czy zmniejszanie nierówności społecznych. Wiemy również z badań, że płaca minimalna poprawia stan zdrowia społeczeństwa, a szczególnie najmłodszej jego części. Badacze George Wehby, Robert Kaestner, Wei Lyu i Dhaval Dave wykazali dla Stanów Zjednoczonych, że wzrost płacy minimalnej o jednego dolara na godzinę zwiększa prawdopodobieństwo znalezienia się przez dzieci osób zatrudnionych na płacy minimalnej w dobrym stanie zdrowia o 10%.

Płaca minimalna ma też pozytywny wpływ na wzrost gospodarczy. Gospodarstwa domowe o niższych zarobkach przeznaczają praktycznie wszystkie swoje dochody na konsumpcję. Otrzymane przez nie podwyżki płac trafiają zatem do lokalnej piekarni, fryzjera czy sklepu. Większy popyt napędza gospodarkę.

Jednak dla rządu wszystkie powyższe korzyści nie wystarczą, by podjąć racjonalną w średnim i długim terminie decyzję. Będący zakładnikiem strony pracodawców i liberalnych mediów rząd liczy na to, że w ten sposób utrzyma się przy władzy po 2027 roku. Zapomina jednak, że pracowników jest w Polsce więcej, a czasy liberalnego populizmu stanowiącego domyślny sposób myślenia o gospodarce i świecie już minęły.

eprasa.pl 8a00c38e4c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rafał Woś

Będzie lepiej, czyli gorzej

Nie działa? To pewnie trzeba jeszcze więcej… tego samego. Taką właśnie metodą zrekonstruował swój rząd premier Donald Tusk.

Odchodzi minister sprawiedliwości Adam Bodnar, który przez półtora roku zajmował się głównie sprawdzaniem, gdzie leży granica, za którą niszczenie demokratycznej opozycji w demokratycznym kraju sprawi w końcu, że kraj ów przestanie być demokratyczny. Zdaniem wielu Bodnarowi udało się tę granicę odnaleźć i przekroczyć. I to niestety nie raz. To za kadencji dawnego „helsińskiego" obrońcy praw człowieka mieliśmy więc znów księdza przetrzymywanego w aresztach wydobywczych, była śmierć najbliższej współpracowniczki lidera opozycji niedługo po wielogodzinnym przesłuchaniu i było taśmowe zdejmowanie immunitetów demokratycznie wybranym posłom. Wygląda jednak, że to wszystko… mało. Bodnar więc odchodzi, a na jego miejsce przyjdzie sędzia Waldemar Żurek. Znany z tego, że bardziej #silnyrazem jest od niego chyba tylko Roman Giertych.

Minister finansów Andrzej Domański przez pierwsze półtora roku najbardziej zasłużył się tym, że aresztował (i to wbrew decyzji PKW) finansowanie dla największej partii opozycyjnej, czym znacząco utrudnił PiS-owi prowadzenie kampanii wyborczej Karola Nawrockiego. Na polu ekonomicznym jego największe dokonanie polega na tym, że w Polsce znów zaczęła spadać ściągalność podatków (głównie CIT). W nagrodę Domański dostanie pod swoją kuratelę jeszcze resort gospodarki. Doprawdy „świetne" to wieści w czasach masowych zwolnień wywołanych szybką utratą konkurencyjności przez polskie firmy. Zwłaszcza te produkcyjne.

Radosław Sikorski będzie teraz wicepremierem. To naturalny krok po kompletnie bezobjawowej polskiej prezydencji w UE, podczas której Warszawie nie udało się narzucić polskiego punktu widzenia na żadną z ważnych kwestii. Skrajnie niekorzystna dla nas umowa o wolnym handlu z krajami Mercosur idzie, jak szła. Pakt migracyjny już od 2026 roku zmusi Polskę do szatańskiego wyboru: albo przyjmujemy tych, co się w Niemczech nie zmieścili, albo płacimy słone kary. Polityka klimatyczna UE zaś wcale umierać nie zamierza i już niedługo system ETS2 zacznie nawracać kolejne branże polskiej gospodarki na zeroemisyjność. Oczywiście kosztem wzrostu bezrobocia i spadku konkurencyjności. Takie to mamy sukcesy polskiej dyplomacji pod wodzą popularnego Radka.

Spełniło się też proroctwo nauczycielskiej „S", która na koniec roku wręczyła minister edukacji Barbarze Nowackiej symboliczne świadectwo pełne ocen niedostatecznych. Ministra zostaje więc w resorcie na kolejny rok. Choć nie jestem pewien, czy taka była intencja naszych związkowców wytykających Nowackiej liczne wtopy i błędy.

Zostaje też z nami premier Donald Tusk. Choć w zasadzie należałoby oczekiwać, że skoro władzy nie idzie (bo skoro robi się rekonstrukcję, to chyba właśnie nie idzie), to zmiana kierunku powinna zacząć się właśnie od kierownika. Kierownik jednak sobie do zarzucenia nic nie ma. Winni są jak zwykle wszyscy inni. I to oni się teraz zmienią.

Coś mi się wydaje, że raczej na gorsze.

eprasa.pl 8a00c38e4c

ORLEN tnie ceny:
Korzyści dla kierowców i gospodarstw domowych

Grupa ORLEN solidnie obniża ceny gazu. Ale to nie koniec dobrych wiadomości od polskiego giganta energetycznego. Od początku wakacji na stacjach benzynowych koncernu trwa promocja na paliwo. W każdy weekend do końca sierpnia klienci biorący udział w programie VITAY korzystają z kuponów, dzięki którym zapłacą nawet o 40 groszy mniej za każdy litr paliwa. A **to nie wszystkie** dobre wieści dla klientów płynące z koncernu energetycznego.

Ceny gazu ostro... w dół

Na obniżki cen gazu czekało ponad siedem milionów Polaków – przede wszystkim ci, którym gaz potrzebny jest nie tylko do przygotowywania posiłków czy podgrzewania wody użytkowej, ale głównie do ogrzewania mieszkań i domów. Obniżki w opłatach za gaz oznaczają dla nich roczne oszczędności na poziomie nawet tysiąca złotych brutto – w przypadku domów ogrzewanych gazem.

Decyzja o zmniejszeniu cen gazu, który dostarcza klientom PGNiG Obrót Detaliczny, spółka z Grupy ORLEN, weszła w życie 1 lipca, a odbiorcy powinni dostrzec ją na swoich rachunkach już przy pierwszym rozliczeniu wakacyjnych płatności.

Fot. materiały prasowe ORLEN SA

Co ważne, obniżka dotyczy wszystkich bez wyjątku, zastosowano ją automatycznie w obowiązującej taryfie, więc klienci nie będą musieli nic robić w tej sprawie. To maksymalizacja wygody przy minimalizacji kosztów.

Grupa ORLEN, informując o blisko 15-procentowej obniżce, wyjaśnia, że dotyczy ona głównie gospodarstw domowych i wspólnot mieszkaniowych będących klientami spółki PGNiG Obrót Detaliczny z Grupy Orlen. Jednak nie tylko. „Nowe ceny oznaczają istotne oszczędności, sięgające nawet jednego tysiąca złotych rocznie w przypadku domów ogrzewanych gazem i kilkunastu tysięcy złotych w przypadku wspólnot mieszkaniowych, spółdzielni, szkół, przedszkoli, żłobków czy szpitali, które także objęte są obniżką” – informuje grupa.

– Uporządkowaliśmy Grupę ORLEN. Realizujemy przyjętą na początku tego roku strategię inwestycyjną. Dążymy do optymalizacji naszej działalności i wyko-

eprasa.pl 8a00c38e4c

rzystania warunków rynkowych do zapewnienia klientom możliwie taniej energii. Dzięki temu od dzisiaj możemy zagwarantować niższe rachunki m.in. dla gospodarstw domowych – tak komentuje korzystne dla klientów decyzje Ireneusz Fąfara, prezes koncernu.

Proste wyliczenia pokazują, że w przypadku mieszkania, które zamieszkują dwie osoby korzystające z gazu do przygotowywania posiłków oraz podgrzewania wody użytkowej, średnie oszczędności w ciągu roku wyniosą około 353 zł brutto. Natomiast jeśli gaz służy im jedynie do przygotowywania posiłków, obniżka wciąż będzie odczuwalna – roczne opłaty będą średnio niższe o około 42 zł brutto.

Taniej na stacjach paliw

Wakacyjną politykę cenową polskiego giganta energetycznego odczuwają również kierowcy. Na stacjach ORLENU w każdy piątek, sobotę i niedzielę klienci posiadający aplikację VITAY korzystają z kuponów obniżających cenę litra paliwa nawet do 40 groszy na litrze. Promocja trwa do końca wakacji.

Za zatankowanie do 50 litrów benzyny lub oleju napędowego w formule EFECTA i VERVA posiadacze aplikacji ORLEN VITAY, wraz z aktywowanym kuponem, dostaną rabat w wysokości 25 groszy na litrze. Rabat urośnie do 40 groszy na litrze, jeśli klient dokona zakupów na stacji z oferty gastronomicznej lub sklepowej za co najmniej 5 zł. Promocja ORLENU obejmuje do pięciu tankowań do 31 lipca i do pięciu kolejnych między 1 a 31 sierpnia.

W tym przypadku proste wyliczenia prowadzą do konkluzji, że średnio jeden kierowca będzie mógł w ramach promocji kupić taniej 500 litrów paliwa.

NOWE CENY OZNACZAJĄ ISTOTNE OSZCZĘDNOŚCI, SIĘGAJĄCE NAWET JEDNEGO TYSIĄCA ZŁOTYCH ROCZNIE W PRZYPADKU DOMÓW OGRZEWANYCH GAZEM.

...i w punktach ładowania elektryków

Grupa nie zapomniała także o swoich najbardziej świadomych ekologicznie klientach. Właściciele samochodów elektrycznych zarejestrowani w aplikacji ORLEN Charge już teraz korzystają z 25% rabatu na ładowanie.

Z obniżki ceny za ładowanie auta o jedną czwartą klienci ORLEN Charge mogą korzystać bez ograniczeń, przy każdym kolejnym ładowaniu, od początku do końca wakacji. Użytkownicy aut elektrycznych, którzy dodadzą kartę lojalnościową VITAY do aplikacji ORLEN Charge i wykonają sesję ładowania, otrzymają bonus na start w postaci 1000 punktów VITAY, przy czym za każdą sesję ładowania naliczane są również punkty VITAY.

KLIENCI POSIADAJĄCY APLIKACJĘ VITAY BĘDĄ MOGLI KORZYSTAĆ Z KUPONÓW OBNIŻAJĄCYCH CENĘ LITRA PALIWA, NAWET DO 40 GROSZY NA LITRZE.

Rozwój z myślą o naturze

Według koncernu, zgodnie z przyjętą strategią do 2035 r., sieć ORLEN Charge będzie odpowiadała za 33% udziału dostarczonej energii do samochodów elektrycznych na rynku ogólnodostępnego ładowania w Polsce, przy założeniu 6000 punktów ładowania. ORLEN, posiadając obecnie ponad 1200 punktów ładowania w kraju, będzie intensywnie rozbudowywał sieć w kolejnych latach. Pierwsze wielostanowiskowe huby szybkiego ładowania, zlokalizowane przy głównych trasach, mają zacząć przyjmować pierwszych klientów jeszcze w tym roku. Podobne pod znaną w Polsce marką punkty ładowania będą powstawać również w innych krajach, w których koncern jest obecny biznesowo. Gdzie? Chodzi o Niemcy, Austrię, Czechy, Słowację i Litwę.

Artykuł powstał we współpracy z ORLEN SA.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Okna dachowe zaczęły się tutaj – 35 lat VELUX w Polsce

Fot. materiały prasowe VELUX Polska

Gdy dzisiejsi inżynierowie budownictwa czy specjaliści IT dopiero przychodzili na świat, a o sztucznej inteligencji w Polsce jeszcze nikt nie słyszał, na nadwiślańskim rynku debiutowała marka VELUX. Dziś, jeśli szukasz niezawodnych okien dachowych do swojego domu, z pewnością zwrócisz uwagę **właśnie na tę firmę**. VELUX nie tylko rozwijał się wraz z rynkiem – aktywnie go kształtował, wyznaczając kierunki i wpływając na trendy. Nie tylko w budownictwie.

Dobry pracodawca i dobry sąsiad

Grupa VELUX i spółki siostrzane, które w Polsce mają dzisiaj pięć zakładów produkcyjnych – dwie fabryki w Gnieźnie, Namysłowie i Wędkowach koło Tczewa oraz w Starym Laskowcu – zatrudniają obecnie ponad 3500 osób (to jedna piąta wszystkich pracowników holdingu VKR, do którego należy Grupa, na świecie!), dając nie tylko stabilną i bezpieczną pracę, ale gwarantując rodzinom możliwość budowania dobrobytu. Zresztą sami pracownicy zaczepiani przez dziennikarzy przyznają, że VELUX to nie tylko dobry pracodawca, ale również – dobry sąsiad.

Grupa znana jest ze swojego zaangażowania w funkcjonowanie lokalnych społeczności. Za tymi aktywnościami stoją Fundacja VELUX i Fundacja Pracownicza Grupy VKR, które tylko w latach 2022–2023 przeznaczyły na lokalne społeczności odpowiednio 4,7 mln zł oraz 8,5 mln zł.

Szczególnie aktywna jest w tym obszarze Fundacja Pracownicza Grupy VKR, która wspiera nie tylko pracowników w ciężkich sytuacjach życiowych i edukacji dzieci, ale także otoczenie sąsiedzkie polskich fabryk. Na jej pomoc mogą liczyć nie tylko lokalne szkoły czy przedszkola, ale również straże pożarne czy ośrodki sportowe. To wsparcie tym cenniejsze, że firma nie chwali się nim przesadnie w mediach – wiedzą o nim przede wszystkim sami zainteresowani, bez względu na to, czy proszą fundacje Grupy o meble, sprzęt sportowy, multimedialny, komputery czy wyposażenie niezbędne dla funkcjonowania lokalnych szkół.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Z myślą o zrównoważonym rozwoju

Grupa VELUX stawia również na działalność z jak najmniejszym wpływem na środowisko. W przypadku Grupy na świecie emisje z własnej działalności zmniejszyły się o ponad połowę do 23 tys. ton dwutlenku węgla z 52 tysięcy ton notowanych jeszcze w 2020 roku. To droga do ambitnego celu, którym ma być niemal stuprocentowa redukcja emisji CO_2 do końca tej dekady oraz zmniejszenie redukcji o połowę w całym łańcuchu wartości dostaw. Także w skali świata Grupa VELUX starannie współpracuje ze swoimi dostawcami i zawiera partnerstwa. W ten sposób firma koncentruje się na pozyskiwaniu materiałów o niższym śladzie węglowym, np. aluminium, szkle, stali i tworzywach sztucznych, ponieważ mają one największy wpływ na emisje z zakresu 3.

Ponadto firma wykorzystuje 100 proc. udokumentowanej energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych. Stało się to możliwe dzięki połączeniu wirtualnych umów zakupu energii odnawialnej, lokalnych instalacji fotowoltaicznych i zakupu certyfikatów odnawialnej energii elektrycznej w krajach, w których umowy PPA nie są jeszcze wykonalne.

Jako jedna z pierwszy firm w Polsce Grupa VELUX zdecydowała się na wycofanie paliw kopalnych – obie fabryki Grupy w Gnieźnie działają w oparciu o kotły na biomasę, do których wykorzystywany jest produkt uboczny. Co warto podkreślić, żadne odpady produkcyjne z fabryk nie trafiają na wysypiska.

Społeczna sprawiedliwość

Spółka nie bez powodu od lat inwestuje w nowe technologie także w innych obszarach – to kwestia wyjątkowego skupienia na jak najwyższych standardach jakości oraz bezpieczeństwa pracy. O tym najlepiej mówią liczby. Tylko w 2022 oraz w 2023 roku modernizacja i rozwój fabryk kosztowały Grupę VELUX i spółki siostrzane 235 milionów zł.

Inną inwestycją było także wdrażanie polityki dotyczącej różnorodności, równości i inkluzywności. A to szybko zaczęło przynosić wymierne efekty – dzisiaj zakłady Grupy są jednym z lepszych nadwiślańskich środowisk pracy. Pomogły w tym szkolenia dla pracowników, które pozwoliły im pozbywać się nieświadomych uprzedzeń – nie tylko w miejscu pracy, ale już na etapie rekrutacji i wprowadzania do firmy nowych pracowników i współpracowników. W tle były – co naturalne dla producenta okien – działania na rzecz wspólnego zrozumienia koncepcji sprawiedliwości społecznej. To wszystko zgodnie z ideą tzw. Przedsiębiorstwa Modelowego, stworzoną przez założyciela firmy. To koncepcja, która określa sposób funkcjonowania nowoczesnej organizacji, jej relacje z otoczeniem – społecznościami lokalnymi, środowiskiem naturalnym oraz pracownikami. W Polsce wizja ta stanowi, aby tworząc produkty dostarczające światło dzienne i świeże powietrze, traktować swoich wszystkich interesariuszy lepiej niż inne firmy.

– Pracownicy są sercem naszej organizacji. Naszym celem jest tworzenie środowiska, w którym każdy może rozwijać swoje umiejętności i czuć się doceniony – mówi Przemysław Pokorski, Dyrektor Rynku VELUX Polska i Kraje Bałtyckie.

Wśród tych działań znalazł się także cel – modny, choć również konieczny na polskim rynku pracy – zwiększenia udziału kobiet na stanowiskach kierowniczych. Poprawę dało się zauważyć już dwa lata temu, kiedy przyrost kobiet na stanowiskach kierowniczych wyniósł 36,6 proc. w stosunku do poprzedniego roku, kiedy nie przekraczał on 33,6 proc. Obecnie panie stanowią niemal połowę, bo 42 proc., wszystkich pracowników zatrudnionych w Grupie VELUX w Polsce.

Nagroda za rozwój sektora

Za swój wkład w rozwój nowoczesnego sektora budowlanego w Polsce i Unii Europejskiej firma VELUX Polska otrzymała prestiżowy tytuł „Budowlana Firma 20-lecia" – wyróżnienie przyznawane jest przez Redakcję i Radę Naukową miesięcznika „Builder".

To wyróżnienie zarezerwowane dla firm z branży budowlanej, które odniosły sukcesy rynkowe i osiągnęły silną pozycję na krajowym i globalnym rynku budowlanym.

– To było dla nas ogromne wyróżnienie oraz dowód uznania dla naszej działalności. Od 35 lat zmieniamy oblicze polskich poddaszy, oferując innowacyjne rozwiązania w zakresie stolarki okiennej, a także aktywnie uczestniczymy w polskim ekosystemie gospodarczym i społecznym. Po ponad trzech dekadach działalności firma VELUX Polska jest nie tylko liderem w branży okien dachowych, ale także znaczącym eksporterem i stabilnym pracodawcą. Dziękujemy za to prestiżowe wyróżnienie i dedykujemy je naszym partnerom biznesowym, klientom i pracownikom – dodaje Przemysław Pokorski.

Artykuł powstał we współpracy z VELUX Polska.

eprasa.pl 8a00c38e4c

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Obce wpływy

Zdzisław Krasnodębski

W PRL i w pierwszych latach III RP marzyliśmy o powrocie do „Europy". Nie o wejściu do zdecentralizowanej Unii Europejskiej, lecz o powrocie do cywilizacji, do rodziny narodów europejskich. Po trzech dekadach (umiarkowanej) wolności możemy sobie powiedzieć, że ten powrót nastąpił, choć obecna Europa zdecydowanie odbiega od naszych mitycznych wyobrażeń i w dodatku wkracza w fazę swojej głębokiej destrukcji. „Powrót do Europy" nie znaczy, że zniknęły wszystkie polskie swoistości, zalety i przywary. Nie znaczy także, że zniknęły wszystkie nasze kłopoty i problemy – ba, przybyły nawet nowe, „europejskie". Ale – „C'est la vie"! Cywilizacyjna luka jednak już nie istnieje. Polska jest krajem „zachodnim" i „europejskim".

Czy dotyczy to także polityki? Czy polska polityka różni się od życia politycznego w innych, wiodących krajach Europy (bo przecież tylko z takimi chcemy się mierzyć)? Istnieją oczywiście liczne swoistości naszego życia politycznego. Nie są jednak nimi nepotyzm, korupcja, konformizm, karierowiczostwo czy biurokracja – zjawiska te, w różnym natężeniu, występują także w innych krajach. Przecież nie dla ozdoby były prezydent Francji Nicolas Sarkozy nosi bransoletkę elektroniczną – został skazany za korupcję i handel wpływami.

Polska polityka zdecydowanie wyróżnia się natomiast swoją widowiskowością. Nie chodzi o antyczną tragedię czy szekspirowski dramat. Polityka u nas to w dużej mierze pewien rodzaj zabawy ludowej czy burleski, w której zatraca się właściwy cel polityki, czyli agregowanie interesów grup społecznych, podejmowanie w miarę racjonalnych decyzji zbiorowych i rozwiązywanie problemów. Nigdzie nie ma w polityce tylu barwnych postaci – happenerów, pozerów, zapiewajłów, gwiazdorów i gwiazd nie szczędzących ni ducha, ni ciała, by nas zainteresować i zabawić. Najlepszą drogą do kariery politycznej jest dostarczanie rozrywki. W końcu „druga osoba" w państwie zrodziła się w telewizji śniadaniowej. Codzienne „wiadomości" ze świata politycznego pasjonują Polaków bardziej niż seriale. Żyją z tego media tradycyjne i nowe, internetowe. W Niemczech programy informujące o zdarzeniach politycznych mają zazwyczaj na celu uspokojenie nastrojów, działanie łagodzące na nerwy wyborców – jak napar z melisy. U nas przeciwnie – usiłują wywołać stan wielkiego pobudzenia, albo miłości, albo nienawiści. Grzechem podstawowym jest rzeczowość, niuansowanie, rozważanie problemu z różnych stron itd.

> NAJLEPSZĄ DROGĄ DO KARIERY POLITYCZNEJ JEST DOSTARCZANIE ROZRYWKI. W KOŃCU „DRUGA OSOBA" W PAŃSTWIE ZRODZIŁA SIĘ W TELEWIZJI ŚNIADANIOWEJ.

W tym spektaklu ujawnia się jeszcze inna cecha swoista polskiej polityki, być może najważniejsza. Tą cechą są nieustanne debaty na temat obcych wpływów, oskarżenia i domysły z nimi związane. Nic dziwnego – w końcu Rzeczpospolita upadła także z powodu wypływów mocarstw ościennych na nasze życie polityczne, z powodu przekupstwa i zdrady, które u schyłku XVIII wieku uważano wręcz za przypadłość narodową. Słusznie boimy

eprasa.pl 8a00c38e4c

się, by III Rzeczpospolitej nie spotkał los pierwszej.

Nie wszystkie wpływy nas jednak martwią, a przynajmniej nie martwią jednakowo. Amerykańskie bywają nawet pożądane. A unijne nie mają waloru tajemniczości, bo są jawne i sformalizowane; nie pobudzają wyobraźni. Chiny ciągle nas mało zaprzątają. Najbardziej ekscytują Polaków wpływy rosyjskie i niemieckie, wpływy dwóch likwidatorów państwa polskiego w latach 1772–1795 oraz w 1939 roku.

No cóż, jeśli chodzi o Rosję, to wiemy, że znaczna część obecnej klasy politycznej i elity kulturalnej wywodzi się wprost z elity rosyjsko-sowieckiej kolonii, którą była PRL. W pierwszych latach III RP te wpływy bardzo nas niepokoiły. Jeden z polskich premierów musiał ustąpić ze stanowiska, gdy został oskarżony o to, że był agentem rosyjskim. Ale to dawne czasy. Obecnie jawne wpływy Rosji są słabe, bo także dla dawnych peerelowskich notabli i ich potomków Rosja przestała być atrakcyjna. Lepsze frukta mają oni na oku niż „moskiewskie pieniądze". Wojna na Ukrainie sprawiła, że od Rosji nawet jej niegdysiejsi sympatycy trzymają się z daleka. Padające dziś w Polsce oskarżenia o prorosyjskość mają raczej na celu zamulenie umysłów i pobudzenia emocji. Są bowiem głównie kierowane przeciw tym, którzy krytykują politykę władz unijnych lub niektórych państw zachodnich (czytaj: Berlina). Podobno tym samym wspierają Putina. Absurd takich oskarżeń jest tym większy, że insynuatorzy działali kiedyś – z wielką pompą i przekonaniem o swojej genialności („my nie gapy") – na rzecz Rosji i Putina i doprowadzili do tragedii smoleńskiej.

W Polsce proputinizm istnieje najwyżej w ukryciu, jako zjawisko kryminalne, nie polityczne. Jest znamienne, że tylko jeden – i to marginalny – kandydat na prezydenta ośmielił się wygłaszać poglądy jawnie proputinowskie, które w Niemczech czy we Francji pojawiają się w polityce często i są szeroko aprobowane społecznie.

W istocie więc oskarżenia o proputinizm, mający rzekomo charakteryzować polską prawicę, służą neutralizacji zarzutu o uległość wobec Niemiec, który pada w stronę Donalda Tuska i jego obozu politycznego. Polityka obecnego rządu uwiarygodnia ten zarzut.

Problem jest bowiem realny. Widzimy, jak kolejno porzucane są projekty infrastrukturalne, które nie w smak były naszemu zachodniemu sąsiadowi. Podobnie dzieje się w polityce pamięci. Teraz jeszcze doszła sprawa ochrony granicy zachodniej. Rząd Friedricha Merza, w obliczu rosnącego niezadowolenia społeczeństwa niemieckiego z powodu dotychczasowej samobójczej polityki migracyjnej, postanowił wprowadzić kontrole graniczne, zatrzymywać i odsyłać imigrantów. Robi to w sposób niezgodny z prawem niemieckim, z konwencją dublińską i umowami dwustronnymi. Wszystkie inne kraje graniczące z Niemcami od razu zareagowały odpowiednio na tę politykę. Tylko rząd Donalda Tuska udawał, że nic się nie dzieje, dopóki nie nastąpiła mocna reakcja społeczna. To kolejny jaskrawy przykład skrajnej uległości.

Może więc czas przejść od słów do czynów? Od widowiska do realności? Polską anomalią jest obecność na wielką skalę różnych podmiotów zagranicznych w życiu politycznym, nie kryjących wcale się z tym, że chcą kształtować wybory polityczne Polaków i politykę polskiego rządu. Ich siła sprawia, że gdy bierzemy ten czynnik pod uwagę, Polska spada z kategorii wschodzącej potęgi europejskiej do poziomu kraju słabego, półkolonialnego. Wiemy to od lat, że trzeba to zmienić. I nic w tej sprawie się nie zmienia. Także rządy Zjednoczonej Prawicy niczego realnego w tej dziedzinie nie osiągnęły. Tymczasem to sprawa o żywotnym znaczeniu, bo im więcej będzie obcych wpływów w Polsce, tym bardziej polska polityka zamieniać się będzie w żenującą rozrywkę dla ogłupionych i emocjonalnie pobudzonych mas, a decyzje strategiczne, dotyczące nas i naszego kraju, będą podejmowane gdzie indziej, nie w Warszawie.

OSKARŻENIA O PROPUTINIZM, MAJĄCY RZEKOMO CHARAKTERYZOWAĆ PRAWICĘ, SŁUŻĄ NEUTRALIZACJI ZARZUTU O ULEGŁOŚĆ WOBEC NIEMIEC, KTÓRY PADA W STRONĘ DONALDA TUSKA.

eprasa.pl 8a00c38e4c

HISTORYCZNA WOJNA

Beniamina Netanjahu

Izrael rozpoczął wojnę z Iranem 13 czerwca 2025 r. i bez wątpienia był agresorem. Pytanie jednak, czy miał inne wyjście? Operacja o znaczącej nazwie „Powstający Lew" (nawiązanie do starotestamentowych słów z Księgi Liczb) została przeprowadzona po mistrzowsku. Izraelska armia atakowała punktowo w konkretne cele związane z irańskim programem jądrowym, zabijając czołowych irańskich wojskowych i naukowców. Ten atak pokazał **fundamentalną zmianę** w żydowskiej polityce. Nie byłoby jej bez agresji Hamasu z 7 października 2023 r., a także zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich.

Mikołaj Mirowski

Państwo żydowskie wzięło na cel irańską infrastrukturę wojskową, ale również m.in. siedzibę telewizji czy gmachy administracji. Co prawda, Iran przeprowadził odwet, a rakiety leciały w stronę Tel Awiwu, Hajfy czy Beer Szewy, ale mimo przedarcia się pewnej ilości z nich przez „żelazną kopułę", nie uczyniły ludności cywilnej poważnej krzywdy. Dość szybko stało się też jasne, że lotnictwo izraelskie panuje nad przestrzenią powietrzną Iranu. Kolejną odsłoną tego konfliktu było włączenie się USA do wojny. Stało się tak w nocy z 21 na 22 czerwca. Jak powiadomił Pentagon, siły USA przeprowadziły – podobnie jak wcześniej Siły Obronne Izraela – bardzo precyzyjny atak na trzy kluczowe obiekty jądrowe w Iranie: Fordo, Natanz i Isfahan. Oczywistym celem było zniszczenie zdolności Iranu do wzbogacania uranu i powstrzymanie zagrożenia nuklearnego. To kolejny tym razem wojskowo-dyplomatyczny sukces Izraela, gdyż Donald Trump wcale do tego ataku się nie palił. Początek tego konfliktu należy jednak datować znacznie wcześniej, na 7 października 2023 r., gdy terrorystyczna organizacja Hamas (od lat sponsorowana przez reżim w Teheranie) brutalnie zaatakowała Izrael.

> IZRAELSKA PARTIA PRACY ZAINWESTOWAŁA BARDZO WIELE POLITYCZNEGO KAPITAŁU W IDEĘ POKOJU.

Złowrogi cień Jom Kippur

Bezprecedensowy atak dokonany został w 50. rocznicę wojny Jom Kippur (ataku koalicji Egiptu i Syrii na Izrael w 1973 r.) i właśnie ten upokarzający historyczny kontekst dobitnie przypomniał państwu żydowskiemu o śmiertelnym zagrożeniu ze strony arabskich terrorystów. W efekcie tzw. Czarnej soboty zginęło ponad 1300 osób, w większości cywili, uprowadzono 251 zakładników, wystrzeliwując zarazem 13 tysięcy rakiet ze Strefy Gazy. Jednocześnie do walk doszło również z udziałem Hezbollahu wzdłuż granicy izraelsko-libańskiej. Atak Hamasu i Hezbollahu nie miałby najmniejszych szans na realizację, gdyby obydwie organizacje terrorystyczne nie byłby przez lata sponsorowane przez teokratyczną dyktaturę ajatollahów w Iranie. Wydarzenia z 7 paździer-

eprasa.pl 8a00c38e4c

Fot. Avi Ohayon/Israel Gpo / Zuma Press / Forum

Spotkanie premiera Izraela Beniamina Netanjahu z prezydentem USA Donaldem Trumpem w Gabinecie Owalnym; Waszyngton, 8 lipca br.

nika były gigantycznym wstrząsem w społeczeństwie izraelskim. Stanowią klamrę bardzo poważnej zmiany w myśleniu żydowskiej opinii publicznej na temat pokoju na Bliskim Wschodzie i jakiejkolwiek możliwości dogadania się z Palestyńczykami (czytaj: Hamasem).

30 lat mrzonek o pokoju

Od 1993 r., czyli od czasu porozumień z Oslo (polegających na wzajemnym uznaniu Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny), państwo żydowskie starało się na wszelkie sposoby pokojowo uregulować stosunki z Palestyną. Orędownikiem pokoju była izraelska lewicowa Partia Pracy i jej liderzy zwani potocznie „gołębiami". Oczywiście byli też przeciwnicy tej drogi, którzy nie chcieli ustępować i godzić się na powstanie dwóch państw. Po stronie palestyńskiej był to Hamas i Palestyński Islamski Dżihad, który – by storpedować kolejne odsłony procesu pokojowego – co jakiś czas organizował serię zamachów. Natomiast „jastrzębiami" po stronie żydowskiej był prawicowy Likud na czele z wtedy nowym liderem Beniaminem Netanjahu. Izraelska Partia Pracy zainwestowała bardzo wiele politycznego kapitału w ideę pokoju. Dość powiedzieć, że w 1995 r. oddał za to życie architekt porozumień z Oslo premier Icchak Rabin, zastrzelony przez żydowskiego radykała. Do innych najbardziej znanych „politycznych ofiar" kolejnych nieudanych negocjacji należeli: Szimon Peres i Ehud Barak. Ten ostatni w 2000 r. podczas kolejnych rozmów z Palestyńczykami w amerykańskiej rezydencji Camp David skłonny był nawet dyskutować nad statusem wschodniej Jerozolimy. Baraka, tak jak innych polityków izraelskich wierzących w strategię „ziemia za pokój", zmiotła później kolejna fala terroryzmu. Nie inaczej było z niektórymi przedstawicielami prawicy na czele ze znienawidzonym przez Arabów Arielem Szaronem. Popularny „Arik", choć ciągnęła się za nim zła sława wojny w Libanie z 1982 r., po latach zdobył się na wyjątkowo ugodowy gest, czyli plan likwidacji żydowskich osiedli w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu oraz wycofanie stamtąd wojsk.

Bibi, czyli zwycięstwo „jastrzębi"

Niepowodzenia izraelskiej lewicy w kwestii palestyńskiej skutkowały trwałym spadkiem poparcia. Tę zmianę w polityce przypieczętowały wydarzenia z 7 października. Opcja radykalnego odwetu wygrała. Tylko czy można się temu dziwić, skoro

eprasa.pl 8a00c38e4c

przez tyle lat żydowskie elity wyciągały (i to naprawdę w różnych politycznych konfiguracjach) do Palestyńczyków rękę za każdym razem nieskutecznie?

Właśnie dlatego obecna pacyfikacja Strefy Gazy (także lutowa interwencja na Zachodnim Brzegu) wygląda tak brutalnie (mamy tam do czynienia z klęską humanitarną), bo de facto państwo żydowskie po trzydziestoletnim okresie dominacji polityki „gołębi" nie chce już pojednania i pragnie tylko zniszczyć całkowicie Hamas. W Izraelu uznano bowiem, że nie warto już rozmawiać z nikim, kto ma na sztandarach wojnę, a ich jedynym programem (zresztą oficjalnym) jest „zepchnięcie Żydów do Morza Śródziemnego". Wybór na kolejnego prezydenta USA Trumpa dał Netanjahu „zielone światło" do ataku, z którego właśnie skorzystał. Tyle że to Iran otwarcie dążył do zniszczenia Izraela oraz zastąpienia go jednopaństwowym rozwiązaniem palestyńskim. Obecne działania Izraela wobec Iranu idealnie wpisują się więc w tzw. ideę wojny prewencyjnej.

Syjonistyczny guz nowotworowy

Kilka dni przed atakiem Hamasu, 7 października 2023 r., Ali Chamenei mówił następująco: – Boska obietnica wyeliminowania bytu syjonistycznego zostanie spełniona i zobaczymy dzień, w którym Palestyna powstanie od rzeki do morza.

W 2019 r. dowódca Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej Hossein Salami przedstawiał takie oto credo wobec Izraela: „Ten złowrogi reżim musi zostać wymazany z mapy i nie jest to już marzenie, ale osiągalny cel". Już po masakrze z 7 października inny z irańskich wojskowych Ali Fadavi stwierdził, że „wstrząsy frontu oporu przeciwko reżimowi syjonistycznemu będą trwały, dopóki ten nowotworowy guz nie zostanie wymazany z mapy świata". Bez wsparcia Teheranu nie mógłby funkcjonować ani Hamas, ani Hezbollah. Bez irańskich funduszy nie byłoby Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu, a także jemeńskich Huti. Wszystkie te organizacje za swój podstawowy cel stawiają zniszczenie Izraela i mają na sumieniu tysiące cywilów.

Czy naprawdę trzeba jeszcze komuś tłumaczyć, że posiadanie broni jądrowej w rękach Teheranu to śmiercionośne zagrożenie dla Żydów?

Polska wojna prewencyjna

Zresztą idea „wojny prewencyjnej" akurat w Polskiej historii jest nader znana i czytelna. Czymś takim była „wyprawa kijowska" Józefa Piłsudskiego, czyli ofensywa Wojska Polskiego i sił Ukraińskiej Republiki Ludowej przeciwko Armii Czerwonej na Kijów z kwietniu 1920 r. Atak ten uprzedził bolszewicką ofensywę, choć ostatecznie nie uratował niepodległości Ukrainy pod wodzą Semena Petlury. Drugi raz „wojna prewencyjna" w Polskiej historii pojawiła się ponownie za sprawą Józefa Piłsudskiego w latach 1933–1934. Przypomnijmy, gdyby wtedy Francuzi zgodzili się na propozycję marszałka i wraz z nami zaatakowali Niemcy tuż po wygranych przez NSDAP wyborach parlamentarnych, najprawdopodobniej nie byłoby II wojny światowej.

Gdyby 13 czerwca 2025 r. Izrael nie zaatakował, być może doczekałby się wojny z Iranem, ale za 3–4 lata i to w o wiele bardziej niekorzystnej dla siebie sytuacji. Teraz sukces Izraela jest oczywisty. Reżim ajatollahów stracił ważne obiekty nuklearne, głównych dowódców wojskowych (nie żyje gen. Mohammad Bagheri – szef sztabu irańskiej armii, gen. Hossein Salami – dowódca Korpusu Strażników Rewolucji, a także mianowany po ich zgonach, gen. Ali Szadmani) oraz czołowych naukowców. Wreszcie Iran został pozbawiony w dużej mierze zdolności produkcyjnej, nie posiada też już zbyt wielu pocisków konwencjonalnych.

Lekcja historii, triumf Netanjahu

Netanjahu, ryzykując wojnę, zachował się jak wybitny i przewidujący polityk. Można go porównać do takich postaci jak: Piłsudski, Churchill czy de Gaulle. Zaszachował Trumpa i niejako zmusił go do zmiany planów wobec szykowanych rozmów amerykańsko-irańskich, gdzie na stole „dealu" były atom i ropa.

Pamiętajmy, kto jak kto, ale Żydzi dobrze znają historię polityka, który w swojej książce pt. „Mein Kampf" zapowiadał, co zrobi, ale nikt nie chciał mu wierzyć, że tak się stanie. Przywódcy Iranu w swej antyżydowskiej polityce, kolportując na potęgę klasykę literatury antysemickiej, głośną carską fałszywkę „Protokoły mędrców Syjonu", też nikogo nie oszukują. Nie mówiąc już o pomaganiu Rosji w agresji na Ukrainie. Obecnie rozbity reżim ajatollahów nie będzie już tak ważnym ogniwem w nowej „osi zła": Moskwa – Teheran – Pekin. To wielka zasługa Beniamina Netanjahu, dzięki której może przejść do historii.

GDYBY 13 CZERWCA 2025 R. IZRAEL NIE ZAATAKOWAŁ, BYĆ MOŻE DOCZEKAŁBY SIĘ WOJNY Z IRANEM, ALE ZA 3–4 LATA.

eprasa.pl 8a00c38e4c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Tak (nie) działa wolny rynek

Jeden z ulubionych sloganów liberałów z prawa, lewa i centrum mówi, że jeśli coś nie podoba ci się w pracy, to zmień pracę. Samo życie ukazało właśnie bezsens takich wywodów.

Mało zarabiasz? Nie jesteś szanowany przez zatrudniającego? Łamane są twoje prawa? Liberał mówi: „Odejdź z tej pracy, znajdź inną, lepszą".

Ma to tyle sensu, co wywody Bronisława Komorowskiego: „Zmień pracę i weź kredyt".

Po pierwsze to wyraz oderwania od rzeczywistości. Nie da się zmienić pracy, gdy jest wysokie bezrobocie – w kraju czy regionie. A już zupełnie dziecinna jest wizja, że miejsce zatrudnienia mogą zmienić wszyscy niezadowoleni w jakiejś okolicy.

Po drugie nie oznacza to całościowej poprawy. Może gdzieś płacą lepiej, ale trzeba dojeżdżać dłużej czy pracować w godzinach mniej pasujących danej osobie. A po roku czy dwóch dowiedzieć się, że nastają zmiany na gorsze w warunkach zatrudnienia.

Po trzecie to wyraz tchórzostwa, choć głosiciele takich poglądów są przekonani o własnej sprawczości i twardzielstwie. Odważny nie ucieka. Odważny walczy o swoje prawa. Tam, gdzie pracuje. Na przykład tworząc związek zawodowy czy wstępując do niego.

Takie fantazje najskuteczniej falsyfikuje jednak samo życie. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów niedawno postawił firmie Jeronimo Martins, właścicielowi sieci Biedronka, zarzut udziału w zmowie z 32 firmami transportowymi. Mówimy o czołowej sieci dyskontów w Polsce, bogatym potentacie handlu.

Proceder miał polegać na tym, że firmy transportowe obsługujące centra dystrybucyjne Biedronki były informowane o pracownikach, którzy zwolnili się z jednej z nich. Takich centrów jest 18 w całej Polsce, obejmują wszystkie regiony kraju. Gdy takie osoby starały się o pracę w innych firmach obsługujących Biedronkę, chcąc uzyskać lepsze warunki zatrudnienia, ich kandydatury były automatycznie blokowane.

Całość procederu miał koordynować koncern Jeronimo Martins. Prezes UOKiK Tomasz Chróstny napisał: „Porozumienia o niekonkurowaniu o pracowników są prawnie zabronione. Mogą m.in. prowadzić do tego, że pensje pracowników są niższe lub nie rosną w takim stopniu, jak w sytuacji, gdyby takiej zmowy nie było".

Ktoś powie, że to wyjątek. I że zostanie ukarany. To nieprawda. Nie trzeba zawiązać zmowy, aby wyciskać z pracowników jak najwięcej. Wystarczy wiedzieć, ile płacą inni – i nie dać lepszej pensji. Wystarczy wykorzystać kiepskie realia lokalnego rynku pracy. Mieć „dziesięciu za bramą na twoje miejsce" – kiedyś dziesięciu bezrobotnych tubylców, a dzisiaj dziesięciu legalnych imigrantów zwożonych tutaj dla korzyści biznesu. Albo posiadać dominującą pozycję w skali regionu. Albo być jedynym zakładem danej branży w okolicy.

Pojedynczy człowiek może czasami zmienić pracę na lepszą. Zupełnie fałszywa jest natomiast opowieść, że może tak zrobić każdy, w dowolnym momencie i w większej skali.

Zamiast mrzonek o zmianie pracy większości pracowników pozostaje niełatwa, ale jedyna realna droga. Walka o zmianę na lepsze warunków swojej pracy w dotychczasowym miejscu.

eprasa.pl 8a00c38e4c

LATA 90.

czyli dlaczego „kiedyś było jakoś fajniej”?

Facebookowy profil „Kiedyś było jakoś fajniej” obserwuje 1,4 miliona ludzi. Czy jest to jedynie **typowa nostalgia** za czasami, kiedy „byliśmy piękni i młodzi”, czy jednak coś więcej?

Agnieszka Żurek

Fot. pixabay.com

eprasa.pl 8a00c38e4c

Zapewne obie odpowiedzi są prawidłowe. Tęsknimy za czasami młodości, często je idealizując, ale też instynktownie czujemy, że kilka dziesięcioleci temu w wielu sferach naszego życia było chyba więcej normalności.

Prostota

„Jesteśmy pokoleniem, które już nie wróci. Dorastaliśmy z kurzem na butach, zdartymi kolanami i sercem, które się spieszyło – nie do ekranów, lecz na podwórko, żeby jak najszybciej zjeść przekąskę i pobiec bawić się z przyjaciółmi. Wtedy najważniejsza była piłka i ci, którzy biegli obok. Wracaliśmy ze szkoły pieszo – śmiejąc się, żartując albo po prostu marząc w ciszy. Myślami byliśmy już w kolejnej przygodzie: gdzieś między piaskiem, kałużą a sekretem, który krył się za rogiem. Patyk stawał się mieczem, kałuża – morzem. Nasze skarby to były kulki, naklejki, papierowe statki. A jedyną granicą było niebo. Nie mieliśmy chmur. Tylko wspomnienia – w głowie i na kliszy. Zdjęcia się wywoływało, dotykało rękami, trzymało w pudełkach. Tam też leżały odręczne listy, pocztówki od babci i taty i rysunki, które mama przechowywała jak największe skarby. «Mamą» nazywało się tę, która tuliła, gdy bolało. A «tatą» – tego, który biegł obok, ucząc jazdy na rowerze. I to nam wystarczało. A wieczorem, już pod kołdrą, szeptało się z bratem czy siostrą z sąsiedniego łóżka, śmiało się z głupstw – i bało, żeby dorośli nie usłyszeli i nie zgasili naszego małego, ciepłego świata. To pokolenie powoli odchodzi – jak fotografia, która z czasem blaknie, ale której nikt nie chce wyrzucić. Odchodzimy cicho, niosąc ze sobą niewidzialną walizkę: ze śmiechem dzieci na podwórku, z zapachem świeżego chleba, z beztroskimi gonitwami i z tą wolnością, w której nie było jeszcze żadnego «powiadomienia». Byliśmy dziećmi – wtedy gdy naprawdę można było nimi być. I chyba właśnie w tym tkwi nasze największe szczęście" – pisze autor [nie znalazłam niestety jego danych – przyp. A.Ż.] popularnego w internecie nieformalnego „Manifestu 50-latków". Zapisana jest w nim tęsknota za „analogowością" w rozmaitych jej przejawach – w nawiązywaniu i budowaniu relacji, w uruchamianiu wyobraźni, ćwiczeniu cierpliwości w oczekiwaniu na coś, w istnieniu tajemnicy, niespodzianek, a przede wszystkim – jej prostotą.

Co było wyjątkowego w latach 90. i dlaczego chętnie wracamy do nich myślami? Był to chyba niepowtarzalny czas, kiedy już wyszliśmy (mniej więcej) z komuny, a zarazem nie zderzyliśmy się jeszcze z niesionymi przez zachodnią kulturę bardziej zawoalowanymi zniewoleniami. Był to czas wolności, luzu, nadziei, czas fantazji i lekkich (a czasem ciężkich!) – wariactw. Na dodatek pozostających wyłącznie w sferze pamięci i nieuwiecznionych cyfrowo. W latach 90. nie doświadczaliśmy jeszcze poprawności politycznej, toteż nie uważaliśmy tak bardzo na słowa – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Był to także czas, kiedy Polacy – poza nielicznymi wyjątkami – żyli raczej skromnie, ale umieli cieszyć się drobnymi przyjemnościami dnia codziennego – np. szklaneczką denaturatu. Dzieciaki tamtych lat miały podobne dresy – „szelesty", podobne fryzury albo dzwony z „India shopów". Szczytem obciachu było wówczas „dresiarstwo" rozumiane jako chamstwo i ograniczenie umysłowe, a w sferze mody i urody – tipsy. „Tipsiara" był to synonim dresiary i nie oznaczał niczego pozytywnego. Gdyby jednak ówczesna „tipsiara" zobaczyła współczesnego „glonojada" (dziewczynę, która przesadziła z ilością wstrzykiwanego w usta botoksu), zapewne uciekłaby z krzykiem.

Bunt

Lata 90. były czasem, kiedy bunt był jeszcze możliwy, kiedy ludziom „o coś chodziło". Obciachem było nieposiadanie zainteresowań, a czytanie książek było nie tyle czymś modnym, co oczywistym. Ceniliśmy oryginalne osobowości i wartości niematerialne. Dla wielu nadal większym autorytetem był wówczas szwendający się z gitarą po „cudnych manowcach" „Majster Bieda" niż „Master Chef". Nie było jeszcze wówczas tylu kamer, zakazów i nakazów hamujących nie tylko łamanie prawa i wariackie pomysły, ale stanowiących także tamę dla fantazji i improwizacji. Być może co druga przygoda ówczesnych nastolatków byłaby dzisiaj nielegalna, nie sądzę jednak, żeby dzisiejsze czyhające na nich zagrożenia – choć często niestety legalne – były mniej niebezpieczne. Lata 90. to czas bez świata cyfrowego, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jeśli zgubisz się w lesie – musisz sobie poradzić, nie odnajdziesz drogi przy pomocy Google Maps. Jeśli uczysz się jeździć autem – nie możesz pomóc sobie nawigacją, musisz skorzystać z papierowej mapy. Jeśli zabłądzisz w górach, musisz nadawać latarką sygnały alfabetem Morse'a,

W LATACH 90. NIE SPOTKAŁ CIĘ ZAAWANSOWANY, PSYCHODELICZNY CYBERBULLYING, A NAJWYŻEJ STARA, POCZCIWA „SOLÓWA PO SZKOLE".

eprasa.pl 8a00c38e4c

krzyczeć albo czekać na zmiłowanie boskie, nie wezwiesz pomocy przy użyciu aplikacji „Ratunek". Z kolei nie spotka Cię zaawansowany, psychodeliczny cyberbullying, a najwyżej stara, poczciwa „solówa po szkole". W wielu życiowych sytuacjach musisz sobie po prostu poradzić – czasem w zdrowy, czasem w mniej zdrowy sposób. Nie możesz skorzystać z gotowych recept ChataGPT. Gdyby ktoś z mojej klasy z lat 90. obejrzał krążący ostatnio po necie filmik przedstawiający dwóch bezradnych nastolatków w nieskazitelnie białych butach stojących na brzegu zalanego wodą po ulewie (nie sięgającą jednak nawet kostek) przejścia dla pieszych i co jakiś czas dotykających nieśmiało jej tafli czubkiem buta, „śmiechom nie byłoby końca". Bieganie boso po kałużach było czymś normalnym, podobnie jak siedzenie godzinami na podwórku, budowanie „baz", granie w „króla skoczka", a w starszym wieku – spanie w czasie wakacji na dachach garaży na karimatach przyklejonych do roztopionej papy. Nie istniał wówczas (chyba), a przynajmniej nie był popularny, typ roszczeniowości narzekający na „problemy pierwszego świata" i nikt nie popadał w depresję ani nie dostawał ataku furii z powodu podania mu wody o pojemności 0,5 zamiast 0,33 litra. W pociągach ludzie na siebie nie syczeli i nie posyłali pełnych wyższości spojrzeń, ale raczej bawili się dobrze, jadąc nad morze w upale, tłoku, owiani „kiblową bryzą" bądź w najlepszym wypadku – zapachem kabanosa, usiłując ułożyć „Tetris" z walizek, kół pływackich, materacy, gitar i namiotów. Więcej było w nas dystansu i luzu oraz autoironii. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że „kiedyś to były czasy, a dziś nie ma czasów". Nie chcę też winić współczesnego młodego pokolenia uzależnionego od świata cyfrowego. Ani nie jest to ich wina, ani też świat cyfrowy nie niesie przecież samych zagrożeń.

Przemoc

Opisywany przeze mnie weselszy aspekt lat 90. (last but not least – jaka fajna była wtedy polska muzyka!) dotyczy sporej części społeczeństwa, ale przecież nie wszystkich. Te lata to w wielu obszarach Polski ogromna bieda, bezrobocie, alkoholizm, samobójstwa, przestępczość i przemoc. Tu akurat cyfryzacja i związana z nią edukacja, a także możliwość dokumentowania patologicznych zjawisk odegrały pozytywną rolę. Choć system prawny nie jest rzecz jasna idealny, to jednak społeczne przyzwolenie np. na stosowanie zasady „nie mów nikomu o tym, co w domu", zapewniającej bezkarność sprawcom przemocy, znacznie się zmniejszyło. Podobnie rzecz ma się z kwestią proszenia o pomoc. Kiedyś kojarząca się ze wstydem, dziś staje się sprawą coraz bardziej normalną i powszechną. To samo dotyczy wiedzy psychologicznej i społecznej akceptacji do korzystania z terapii. Współczesne czasy wychyliły mocno wahadło w drugą stronę i tak jak kiedyś korzystanie z pomocy psychologa było czymś wstydliwym, obecnie staje się wręcz czymś modnym. Czy stanowi to dowód na to, że kapitalizm, tak jak kiedyś socjalizm, „bohatersko walczy z problemami, które sam stworzył"? Po części zapewne tak. Wiele problemów psychologicznych ma swoje źródła w zaniku poczucia bezpieczeństwa wynikającego z tworzenia wspólnoty, z kryzysu pozytywnych więzi, z braku głębszych życiowych celów, z zaniku religijności, z uzależnień – także tych cyfrowych, z porównywania własnej szarej codzienności z instagramowym życiem na pokaz etc. Przesyt wirtualem i tęsknota za „żywotem człowieka poczciwego" przejawia się nawet w, o paradoksie!, internetowych „trendach".

„Trendem na rok 2025 jest powrót do analogowych metod poznawania się i randkowania, zwany «meet cute». Oznacza on spontaniczne, urocze spotkania, które mogą zapoczątkować romantyczną relację, nawiązując do czasów, gdy ludzie poznawali się w naturalny sposób, np. na ulicy, w parku czy przez znajomych. Ten trend zyskuje na popularności, szczególnie wśród młodych osób, które szukają autentyczności i chcą uciec od presji idealnego wizerunku w aplikacjach randkowych" – podpowiada... sztuczna inteligencja. Czy ten trend ma szansę powodzenia? Być może tylko do czasu, kiedy pokusa podzielenia się na Instagramie ze światem tym, jak urocza może być normalność, okaże się zbyt silna, by się jej oprzeć. Samo jednak istnienie mody na życie analogowe i „detoks cyfrowy" jest czymś wartym odnotowania. Świadczy bowiem o głodzie prawdziwych relacji i świata nie na pokaz. Możemy za tym pójść i znormalnieć z własnej woli. Możemy też nakręcać spiralę rozmaitych absurdów do momentu, kiedy to wszystko pęknie, a potem nastanie cisza i ciemność. Jeśli nie sięgniemy po rzeczywistość analogową dobrowolnie, w którymś momencie przyjdzie ona do nas sama. Wszak, jak głosi przypisywane Albertowi Einsteinowi „proroctwo": „Kolejna, po atomowej, wojna światowa będzie wojną na patyki i kamienie".

TRENDEM NA ROK 2025 JEST POWRÓT DO ANALOGOWYCH METOD POZNAWANIA SIĘ I RANDKOWANIA, ZWANY „MEET CUTE".

eprasa.pl 8a00c38e4c

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Czy pan Bodnar jest mądry?

Sławomir Jastrzębowski

Ja nie wiem, czy pan Bodnar jest mądry czy niemądry, nie przesądzam, ja się tu zastanawiam, ale wydaje mi się, że raczej, że może, że chyba niekoniecznie, kto wie, kto wie? No, niby powinien być mądry, bo ma jakieś wykształcenie i do niedawna stanowisko, a nawet dwa, bo i minister, i prokurator generalny, ale my przecież, proszę Państwa, tylu tumanów z wykształceniem i stanowiskami moglibyśmy wskazać po nazwisku, że nie chce nam się tu książki telefonicznej dyktować. Doszliśmy więc do wniosku, że samo wykształcenie ze stanowiskiem nie przesądza o mądrości, choćby stanowiska były dwa. Jak więc o mądrości wnioskować? Może po owocach ich poznacie? Niech będzie...

Wszystkich owoców Bodnara nie będę tu oglądać, bo by „Tygodnika" zabrakło, jeden świeży wezmę sobie z koszyczka pod lupę. O ten! Choć zdaje mi się świeży, to jednak jest mocno zgniły...

Jak powszechnie wiadomo, Adam Bodnar nie za bardzo kocha byłego szefa Orlenu Daniela Obajtka. Może dlatego, że Obajtek nie płaszczył się przed Niemcami i nie sugerował, że Polacy są jak udomowione zwierzątka, których nie wolno porzucić, a może z innych powodów. Niemniej miłości nie ma. Marzy ten Bodnar, żeby Obajtka zobaczyć na ławie oskarżonych albo w pasiakach. Nie takie to proste, bo potencjalną ofiarę strzeże immunitet Parlamentu Europejskiego. Myślał więc pan Adam i myślał, i wymyślił. Złożył wniosek o uchylenie immunitetu między innymi z powodu wydania polecenia wycofania ze sprzedaży numeru pewnego tygodnika, czyli naruszenia Prawa prasowego i wolności słowa. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że zachowanie Obajtka było haniebnie cenzorskie i nie da się go usprawiedliwić, niemniej diabeł tkwi w szczegółach, a szczegóły tej sprawy, dokładnie dwa wielkie szczegóły (oksymoron zamierzony), nie wskazują na mądrość Bodnara. Wręcz przeciwnie.

1. Szczegół pierwszy. Sprawa dotyczy obrzydliwego, antyklerykalnego, komuszego, Urbanowskiego tygodnika „NIE", który na rzeczonej okładce pozwolił sobie na sfabrykowanie fotografii Jana Pawła II z ferulą (pastorał zakończony krzyżem), na którym zamiast Chrystusa umieszczono nagie ciało niemowlaka. Głupia, niesmaczna, obrzydliwa, raniąca uczucia chrześcijan nędzna prowokacja. Tu nie ma pola do dyskusji, sprawa jest oczywista. Tego typu okładki można sprzedawać co najwyżej starannie zafoliowane, w dziale dla szurniętych dorosłych. Obajtek zrobił coś, co zrobiłby każdy przyzwoity człowiek. Zasłużył na szacunek, a nie na ciąganie go po sądach. Bodnar stanął po stronie obrzydlistwa i antycywilizacji. Niewiele ma to wspólnego z mądrością.

2. Szczegół drugi. Widzieliście tego obywatela Bodnara, jaki stał się cudownie wrażliwy na punkcie Prawa prasowego, wolności słowa i wolności mediów? No, brawo. Mówimy o tym samym b. ministrze Bodnarze, który nie widział żadnego problemu w bandyckim przejęciu przez jego rząd Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i PAP, który nie widział żadnego problemu w oszustwie na blisko 6 mld złotych z tak zwaną likwidacją TVP. Mówimy o ministrze, którego rząd bezczelnie łamie Prawo prasowe, nie wpuszczając na spotkania z Tuskiem części mediów, które akurat nie chcą padać plackiem przed tym rządem. Taki ślepy Adam na jedno prasowe oko.

Jeśli więc mnie Państwo pytają, czy Adam Bodnar jest mądry, to ja bardzo proszę bez głupich pytań...

SAMO WYKSZTAŁCENIE ZE STANOWISKIEM NIE PRZESĄDZA O MĄDROŚCI, CHOĆBY STANOWISKA BYŁY DWA.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Dziecko trojga rodziców

Klinika niepłodności w brytyjskim Newcastle ma powód do dumy. W skomplikowanym zabiegu zapłodnienia in vitro wykorzystała DNA trojga rodziców, co skończyło się przyjściem na świat **ośmiorga zdrowych dzieci**. W tle jest również problem powrotu do eugeniki, czyli projektowania „lepszego" społeczeństwa.

Paweł Pietkun

Proj. K. Karnkowski

W tym sztucznym zapłodnieniu chodziło o wyeliminowanie chorób mitochondrialnych, na które dzieci narażone byłyby w przypadku naturalnego poczęcia i... braku drugiej matki. Teraz w zaciszach gabinetów brytyjscy prawnicy wyliczają procentowy udział materiałów genetycznych w DNA dzieci po to, żeby określić, która z dawczyń jest ich faktyczną, biologiczną matką – póki co brytyjskie prawo nie dopuszcza sytuacji, kiedy rodzi się potomek trojga rodziców. W tle jest również problem powrotu do eugeniki, czyli projektowania „lepszego" społeczeństwa.

Debata prawników

W prawniczych sporach wbrew pozorom nie chodzi wcale o kwestie dziedziczenia majątku – w tym przypadku po dwóch matkach. Takie sprawy załatwiane są już na etapie zgody wyrażanej przez rodziców przed zabiegiem in vitro. Chodzi przede wszystkim o przyszły dostęp dziecka – już jako osoby dorosłej – do informacji medycznej dotyczącej obu matek oraz ich materiału genetycznego. To konieczne w przypadku przyszłego partnera dziecka trojga rodziców. Jest ono bowiem narażone na przypadkowe spotkanie swojego „przyrodniego" brata lub siostry, a ewentualne dzieci z takich związków niemal na pewno będą obciążone wadami genetycznymi. To ewolucyjna broń, która pozwala nam unikać dziedziczenia wsobnego, o czym boleśnie przekonywały się europejskie rodziny panujące jeszcze kilkaset lat temu, które – spokrewnione między sobą, często dość blisko – decydowały się na potomstwo, rodząc wyjątkowo często dzieci chore na różne odmiany epilepsji, hemofilię czy w końcu niepełnosprawne umysłowo.

Dzisiaj ludzkość osiągnęła etap, w którym z powodzeniem może eliminować choroby dziedziczne – o czym z dumą informują lekarze z kliniki w Newcastle, którzy powołali do życia dzieci trojga rodziców. W tym skomplikowanym i przeprowadzanym pod superdokładnym mikroskopem, wielogodzinnym zabiegu chodziło o wyeliminowanie nieuleczalnych chorób mitochondrialnych, na które przyszłe dzieci byłby narażone bez proszenia do aktu zapłodnienia drugiej matki. Pod tym względem udało się znakomicie – dzieci nie mają objawów chorób mitochondrialnych. Co więcej, ich potomstwo nie będzie na nie

eprasa.pl 8a00c38e4c

narażone, bo mitochondrialne DNA pochodzi od tej „lepszej", zdrowej matki. Nieuleczalne choroby mitochondrialne są niemal zawsze przekazywane z matki na dziecko. Mogą one spowodować poważne uszkodzenia mózgu, niewydolność narządów wewnętrznych czy padaczkę, a niektóre dzieci umierają w ciągu kilku dni od urodzenia. Pary wiedzą, że są narażone na to ryzyko, jeśli poprzednie dzieci, członkowie rodziny lub matka byli dotknięci tą chorobą.

Szansa czy eugenika?

Mitochondria to obecne w każdej komórce naszych organizmów organelle komórkowe, które odpowiadają za dostarczanie komórkom energii niezbędnej do życia i rozwoju – to podstawa oddychania komórkowego. Odpowiadają również za specjalizację komórek i właśnie dlatego ich wady są takie niebezpieczne. Co istotne, w przeciwieństwie do pozostałych komórek naszych organizmów mitochondria mają swój własny, niezależny od jądra komórkowego, kod DNA i są zdolne do samodzielnej replikacji.

Jeszcze kilka lat temu wykorzystanie zupełnie obcych mitochondriów w zabiegu in vitro było zupełnie nie do pomyślenia. Po pierwsze – było to właściwie niemożliwe technicznie. Po drugie – wymagało bardzo złożonej operacji „wyjęcia" właściwego jądra komórkowego z komórki jajowej i pozostawienia w niej oryginalnych mitochondriów, wszczepienia tam jądra komórkowego z „właściwej" matki, później wstrzyknięcia do komórki jajowej plemników i już po pierwszych podziałach komórkowych wszczepienia embrionu do organizmu matki, która pojawiła się w klinice leczenia niepłodności. Jednak tu pojawia się problem – faktycznie rzecz biorąc, nie był to zabieg leczenia niepłodności, a jedynie wyeliminowania możliwych chorób genetycznych przyszłego dziecka.

Część naukowców zwraca uwagę na to, że taki zabieg jest już sięganiem do eugeniki, czyli narzędzi pozwalających na doskonalenie cech dziedzicznych potomstwa i całego gatunku, których celem jest tworzenie warunków pozwalających na rozwój dodatnich cech dziedzicznych i ograniczenie cech ujemnych. Krótko mówiąc, chodzi o – na razie bardzo wstępne – projektowanie potomstwa. Kwestią czasu jest taka inżynieria genetyczna, która pozwoli na zaprojektowanie wszystkich cech przyszłego dziecka – łącznie z kolorem włosów i zdolnościami intelektualnymi.

DZISIAJ LUDZKOŚĆ OSIĄGNĘŁA ETAP, W KTÓRYM Z POWODZENIEM MOŻE ELIMINOWAĆ CHOROBY DZIEDZICZNE.

Rasa nadludzi

To niebezpieczne, bo może doprowadzić do powstania rasy nadludzi, którzy będą zdolniejsi i piękniejsi – według obowiązujących w konkretnym momencie standardów. Będą też potomkami jednej klasy ludzi – na takie zabiegi będzie stać wyłącznie zamożnych. Zarabiający mniej będą musieli zdać się na naturalne metody zapłodnienia i dziedziczenie rzeczywistych cech dwojga biologicznych rodziców – również tych złych, związanych z chorobami czy większą zapadalnością na nowotwory. „Gorsi" ludzie będą się rodzić z mniejszymi szansami na wykształcenie i z definicji będą żyli krócej. Czy ich wyłączną rolą będzie służenie tym „lepszym", zaprojektowanym w kosztownych laboratoriach i klinikach? Inaczej nie będą mieli szans na godne życie.

Eugenika jako idea pojawiała się w historii ludzkości wielokrotnie – po raz ostatni na wielką skalę jako doktryna polityczna III Rzeszy. Celem zajmujących się nią niemieckich naukowców było stworzenie „czystej rasy aryjskiej" o określonym genotypie – to wysocy blondyni o niebieskich oczach. Naziści prowadzili szeroko zakrojone, często okrutne eksperymenty na ludziach, aby przetestować swoje teorie genetyczne. W latach 30. i 40. reżim nazistowski przeprowadzał sterylizację setek tysięcy umysłowo upośledzonych ludzi i w przymusowych programach zabijał dziesiątki tysięcy osób uznanych instytucjonalnie za upośledzonych. I choć już po wojnie plany tworzenia „lepszej rasy" zostały porzucone przez ludzkość en bloc, zdarzały się rządy wracające do projektu – to na przykład rząd Szwecji, który został złapany na tym, że w latach 70. i 80. godził się na przeprowadzanie przymusowej sterylizacji kobiet pochodzenia romskiego za każdym razem, kiedy trafiały do państwowych szpitali.

Nie pierwsza próba

Do programów eugenicznych zaliczono również obowiązującą w ostatnich trzech dekadach XX wieku prowadzoną przez Chiny „politykę jednego dziecka" i dopuszczenie zabijania niemowląt płci żeńskiej. W tej polityce Pekin widział ograniczenie przyrostu naturalnego (co docelowo miało pozwolić na uporanie się z klęską głodu, która była echem rewolucji kulturalnej) oraz – to dzięki dużej liczbie mężczyzn – zbudowanie najliczniejszej armii świata w perspektywie dwóch dekad. Podobnie jak udane narodziny ośmiorga dzieci z trojga rodziców założeniom tych pomysłów przyświecał szczytny i dobry cel.

eprasa.pl 8a00c38e4c

KARUZELA Z BLOGERAMI

SEAMAN

CENTRUM BADAŃ NAD DYSFUNKCJAMI

Istnieje dotkliwy brak równowagi w polskim systemie nauki i szkolnictwa wyższego. Uniwersytet Warszawski, posiłkując się najtęższymi głowami uczelnianej kadry, stworzył niegdyś Centrum Badań nad Uprzedzeniami. Pomijam tu potrzebę takich badań, to inna kwestia. W każdym razie uprzedzenia mają swoich badaczy oraz granty na badania, więc świetlana przyszłość rysuje się przed tą placówką. Tymczasem z powodu rażącej nierównowagi w traktowaniu dyscyplin naukowych cierpią na przykład dysfunkcje, które są traktowane po macoszemu przez świat nauki. Żadna uczelnia nie podjęła wysiłku zgłębiania tych przypadłości, które przecież mają także niebagatelny wpływ na życie społeczne, co najmniej porównywalny z uprzedzeniami.

Dysfunkcje w polityce

Przy czym nie chodzi mi bynajmniej o dysfunkcje tuzinkowe, wyświechtane po wszelkich łamach, ekranach i mikrofonach, jak choćby dewiacje seksualne. Nie to mam na myśli, raczej te polityczne, o ile ta nazwa może być adekwatna, skoro sama polityka w dzisiejszych czasach dość często wygląda na dysfunkcyjną. Myślę o sytuacjach bardzo dziwnych w sensie politycznym, nie posiadających racjonalnego wytłumaczenia.

Repolonizacja – jak oni ją rozumieją?

Żeby nie być gołosłownym: Czy to jest normalne, kiedy premier rządu Donald Tusk deklaruje uroczyście repolonizację polskiej gospodarki, a następnie dowiadujemy się, że polskie firmy zostały wykluczone z udziału w sztandarowej polskiej inwestycji, jaką mógłby być CPK? Firmy nie zostały pominięte wprost, lecz poprzez warunki przetargu, które ustalał polski rząd pod przywództwem Tuska. Zatem mamy do czynienia z poważną dysfunkcją mentalną, bo jak inaczej nazwać tak drastyczne rozminięcie się deklaracji z rzeczywistością? Tym bardziej, że zarówno deklaracja repolonizacji, jak i warunki udziału zostały ogłoszone publicznie. I nikt z koalicji rządowej nie spłonął ze wstydu ani się nawet nie zarumienił.

Euforia patologiczna

Z kolei od czasu rozstrzygnięcia wyborów prezydenckich, czyli od dnia 1 czerwca, frapuje mnie zachowanie sztabu wyborczego kandydata Rafała Trzaskowskiego po ogłoszeniu wyników pierwszego sondażu exit poll i do tej pory nie potrafię tego pojąć. Przypomnę, że ów exit poll ogłoszony o godzinie 21.00 wykazał skrajnie minimalną przewagę Trzaskowskiego, a mianowicie 0,6 proc., co jest wielkością ok. trzy razy mniejszą od zakładanego błędu pomiaru 2 proc. Tak niewielka różnica nie pozwala na wyciągnięcie żadnych wniosków co do możliwego zwycięzcy. Myślę, że każdy absolwent szkoły podstawowej jest w stanie pojąć tę materię. Tymczasem w sztabie kandydata Koalicji 13 grudnia uznano ten wynik za pewną wygraną i zapanowała szalona, wręcz frenetyczna wrzawa i euforia. Sam kandydat natychmiast ogłosił się zwycięzcą, swoją małżonkę zaś – Pierwszą Damą. Swoją drogą, żal mi się wtedy kobiety zrobiło...

Ludzie, co jest z wami nie tak?!

Zachodzę w głowę, co to są za ludzie i czym się kierują, bo przecież nie myśleniem? A było wśród zgromadzonych wielu polityków z najwyższej półki, sporo celebrytów oraz osób z naukowymi tytułami. Ci ludzie skakali pod sufit w radosnej ekstazie, wrzeszczeli niczym tłum dzieci, w który rzuci się garść cukierków, skandowali imię rzekomego zwycięzcy. Niepojęte zachowanie, bo na moje oko wszyscy byli absolwentami podstawówki. Dysfunkcyjni czy nawiedzeni, a może po prostu głupi? Ja żywię nadzieję, że to ostatnie, bo choć głupcy czasami robią karierę w polityce, to równie szybko z niej wypadają. Ale pewności nie mam.

PS Gdyby zebrać do kupy co pocieszniejsze Człowieki Roku „Gazety Wyborczej", uzupełnić członkami sztabu Rafała Trzaskowskiego, dodać paru celebrytów w typie orkiestrowego Jurasa i stworzyć z nich rząd, to byłaby przynajmniej nasza wersja „Gry o tron". A tak mamy władzę porażoną bliżej nieznanymi przypadłościami. Dlatego apeluję, żeby stworzyć Centrum Badań nad Dysfunkcjami w Polityce.

eprasa.pl 8a00c38e4c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Dekonstrukcja

Premier Donald Tusk zaprezentował w ubiegłym tygodniu skład nowej Rady Ministrów. Szef rządu kolejny już raz mówił o „ogarnięciu się", zakończeniu wewnętrznych sporów i wytężonej pracy. Tyle że zarówno część nominacji, jak i wypowiedzi Tuska świadczą raczej o utwardzeniu kursu i przygotowaniu do starcia.

Największą niespodzianką jest dymisja Adama Bodnara. Od dłuższego czasu mówiło się co prawda o niezadowoleniu z tempa „rozliczeń", ale wydawało się, że Bodnar utrzyma stanowisko. Stało się jednak inaczej. Nie wystarczyły robienie i firmowanie świństw, pełna dyspozycyjność oraz nadgorliwość. Donald Tusk postanowił poświęcić Bodnara i rzucić go na pożarcie. Szef rządu zdaje sobie bowiem sprawę, że jego najtwardszy elektorat nie czeka na etyczne niuanse i konstytucyjne rozważania. On chce krwi. Chce widzieć Ziobrę, Morawieckiego i Kaczyńskiego w kajdankach, a nie w ławach sejmowych. Chce telewizyjnych spektakli, a nie seminarium z prawa europejskiego. Tusk uznał więc, że misja Bodnara dobiegła końca. Jak na ironię nie jest wykluczone, że jeszcze za nim zatęsknimy. Dlaczego?

W jego miejsce wchodzi bowiem sędzia Waldemar Żurek – nieprzejednany krytyk i twarz walki ze zmianami w wymiarze sprawiedliwości za rządów Zjednoczonej Prawicy. Żurek, znany ze swojego zaangażowania politycznego i fanatyzmu oraz osobistych motywacji, to ewidentnie zmiana w duchu utwardzenia kursu. Chociaż i to może finalnie nie wystarczyć. Co ciekawe, Żurek dla teki ministra musiał się zrzec urzędu sędziowskiego i chroniącego go immunitetu. Jeśli chciałby później wrócić, to musiałaby go zaakceptować Krajowa Rada Sądownictwa i prezydent. Przyznaję, że biorąc pod uwagę obecne nastroje społeczne, to raczej ryzykowny ruch.

Nie miejsce to, by analizować wszystkie zmiany w rządzie. Jednak nominacja dla Waldemara Żurka i powrót Marcina Kierwińskiego (MSWiA) do Rady Ministrów oraz wypowiedź Donalda Tuska dot. przyspieszenia rozliczeń sugerują, że premier wybrał zaostrzenie polityki i zderzenie z opozycją oraz z prezydentem Karolem Nawrockim.

Rekonstrukcja miała zapewne wyglądać jak pokaz siły, ale w rzeczywistości to nieudolne ukrywanie słabości. Po blisko 20 miesiącach rządzenia premier – kolejny już raz – mówi, że trzeba się wziąć do pracy? Nic dziwnego, że rząd Donalda Tuska – jak i on sam – ma najgorsze oceny od zaprzysiężenia. Gorsze nawet, niż miał pod koniec drugiej kadencji Mateusz Morawiecki. Cały ten teatr związany z rekonstrukcją ma więc przykryć problemy, które się nawarstwiają. Zarówno w samej koalicji, jak i w państwie. Co w takim przypadku zostaje? To, co zwykle – igrzyska. Najprawdopodobniej czeka więc nas czas „rozliczeń". – Czas się ogarnąć – mówi słusznie Donald Tusk. Może premier powinien posłuchać i zacząć od siebie?

eprasa.pl 8a00c38e4c

Infrastruktura rowerowa

Fot. Adobe Stock

Polska nie słynie ze znakomitych dróg rowerowych. Chociaż jest z nimi u nas coraz lepiej, to wciąż wiele można poprawić. Dla bezpieczeństwa na drodze, dla zwiększenia liczby rowerzystów, a więc i dla **zdrowia Polek i Polaków**, jak również dla czystszego powietrza i odkorkowywania miast.

Łukasz Sakowski

W tekście tym chcę podzielić się moimi uwagami i przemyśleniami na temat infrastruktury rowerowej w naszym kraju, z perspektywy zwłaszcza dużych miast, ponieważ głównie tam korzystam z roweru. Zrobię to jako zapalony rowerzysta i kurier rowerowy, a także ktoś, kto przejechał trochę kilometrów w Holandii i ma porównanie do naprawdę znakomitych dróg. Jednocześnie bardzo lubię prowadzić samochód, co również tutaj uwzględniam.

Zacznijmy od istnienia dróg

Przemieszczam się na rowerze głównie w Poznaniu, i nawet tutaj, mimo iż moje miasto w skali Polski uchodzi za najbardziej przyjazne rowerzystom (wg badania z 2019 roku 8,4% poznaniaków korzysta z roweru jako środka transportu), jest wiele ulic, gdzie dróg rowerowych nie ma. Nawet jeśli jest na nie miejsce albo choćby tylko na domalowanie wąskiego pasa na drodze. Jeżdżenie wśród aut czy tramwajów to coś, do czego przywykłem, ale przeciętny człowiek raczej zrezygnuje z dojazdu rowerem do pracy, jeśli ma jechać torowiskiem czy ruchliwą drogą.

W Holandii standardem jest, że drogi rowerowe są prawie wszędzie. A jeśli ich nie ma, wówczas droga samochodowa pełni domyślnie także funkcję drogi rowerowej, na której rowerzysta ma pierwszeństwo. U nas też tak jest, ale w praktyce często to nie działa. Nie zliczę, ile razy byłem obtrąbiony, nieraz nawet zwyzywany, bo jechałem drogą, zgodnie z przepisami, robiąc miejsce do przejazdu auta. Zdarzało się nawet wykrzykiwanie gróźb przez okno, co z pewnością każdy regularny rowerzysta zna z własnego doświadczenia. Przyjaźni rowerzystom kierowcy też na szczęście istnieją i stykam się z nimi codziennie, ale nie wynagradza to wcale regularnie zdarzających się nieprzyjemnych lub niebezpiecznych sytuacji.

Naprawdę niewiele wysiłku i nakładów kosztów wymagałoby domalowanie wąskich pasów po obu stronach dróg w wielu miejscach. Czasami też kwestia zrobienia kontrapasu rowerowego, jeśli to droga jednokierunkowa. Nie zmniejszyłoby to liczby pasów dla samochodów, za to zachęciłoby mieszkańców do rowerów, zwiększyło bezpieczeństwo i promowało kulturę jazdy.

Jeszcze jednym ważnym aspektem są międzymiastowe drogi rowerowe. W Holandii praktycznie wszędzie da się dojechać rowerem, ale to mały i mocno zaludniony kraj, prawie bez terenów naprawdę dzikich. W Polsce aż takie usieciowienie infrastrukturą rowerową byłoby raczej trudne. Tym niemniej dobrze by się stało, gdyby stworzono solidne drogi rowerowe między głównymi miastami, a także arterie z mniejszych do średnich i większych miast. Jest niemało ludzi, którzy mając dobrą drogę rowerową, zdecydowaliby się na dojeżdżanie do pracy rowerem nawet 15–20 km w jedną stronę. Sam znam takie osoby w Poznaniu, i nie są to bynajmniej zapaleni rowerzyści ani sportowcy. Świadomość, że czasowo wychodzi to niewiele dłużej niż autem, ale o wiele przyjemniej i zdrowiej, zwyczajnie motywuje. Możliwość turystycznego przejechania Polski wzdłuż i wszerz rowerem byłaby wówczas tylko dodatkowym atutem.

Pasy na drogach rowerowych

Rzadkością są u nas drogi rowerowe, które mają namalowane pasy, jak na tradycyjnej jezdni. Jesienią i zimą nie stanowi to większego problemu, bo rowerzystów jest niewielu. Jednak od kwietnia, a zwłaszcza czerwca, pojawia się sporo nowych osób, często jeżdżących jedynie re-

eprasa.pl 8a00c38e4c

kreacyjnie. Część z nich to rowerzyści nieznający przepisów, znaków drogowych, zachowań na drodze, intuicji pierwszeństwa itd. Domalowanie pasów rowerowych bardzo by zatem ułatwiło jazdę w ciepłych miesiącach, a także zwiększyło bezpieczeństwo. Taka linia daje przecież automatycznie informację co do wyprzedzania czy kolejności jazdy, jeden za drugim. W Holandii na rowerowych drogach dwukierunkowych linie dzielące na dwa pasy to norma. W Poznaniu widziałem dwie czy trzy takie drogi, a w zasadzie krótkie, wyremontowane niedawno odcinki.

Czasami zdarzają się drogi rowerowe jednokierunkowe. W Polsce są dość rzadkie, ale jednak obecne od dawna. Zaobserwowałem, że wielu rowerzystów nic sobie z nich nie robi i jeździ nimi pod prąd, ledwo mieszcząc się z rowerzystą jadącym po przeciwnej stronie, zgodnie z ruchem – jednokierunkowe drogi rowerowe są dość wąskie. Mam wrażenie, że niejeden nie wie nawet, że korzysta z nich w niewłaściwy sposób. Coś nie do wyobrażenia podczas jazdy autem w przypadku roweru jest tolerowane. Co niektórzy, bardziej rozgarnięci rowerzyści, ale na tyle leniwi, że nie chce im się czekać na światłach, by przejechać na drugą stronę, wybierają powolną jazdę chodnikiem, jeśli nie ma na nim wielu pieszych, by nie jechać drogą obok pod prąd. Niemniej wciąż bardzo wielu po prostu jeździ drogami rowerowymi w taki sposób. Czasem nawet na domalowanych pasach rowerowych na jezdni samochodowej, gdzie wyczucie jechania niezgodnie z kierunkiem jest już bardzo intuicyjne. Dlatego przydałyby się wyraźne oznakowania. Włącznie z np. przekreślonym rowerem w niewłaściwym kierunku.

Na drogach rowerowych bardzo pomogłyby też jezdniowe znaki informujące o pierwszeństwie czy zatrzymaniu się („Stop"). Istnieją one w paru miejscach w Poznaniu, ale nie są normą, jak w Holandii, a powinny być. Część rowerzystów nie ma prawa jazdy i nie zna przepisów. Niektórzy nie wiedzą, kto ma pierwszeństwo przy skręcaniu itd. Namalowanie trójkącików czy grubszej linii pomogłoby ograniczyć ten problem.

Podjazdy, zjazdy, krawężniki

Zmorą rowerzystów w Polsce są wysokie podjazdy na przejazdach rowerowych lub pieszo-rowerowych. Paradoksalnie wiele razy widziałem, że przejście dla pieszych jest praktycznie pozbawione krawężnika, a dla rowerzystów – nie. Tymczasem pokonywanie krawężników dwiema cienkimi oponami roweru nie jest wygodne i nie należy do przyjemnych.

W przypadku niektórych rowerów albo dzieci na małych rowerkach może to być nawet niebezpieczne. Poza tym rowerzyści jeżdżący regularnie daną drogą przyzwyczajają się, że w określonym miejscu jest wysoki podjazd lub zjazd, więc automatycznie pokonują drogę samochodową, odbijając lekko na ubocze przejścia dla pieszych. Nie jest to może szczególnie niebezpieczne, ale nie jest to też dobry nawyk i lepiej go marginalizować. Tymczasem wysokie podjazdy go wzmacniają.

W Holandii w zasadzie wszędzie zamontowane są delikatnie pochylone betonowe płytki (takie „pochyłe krawężniki", małe rampy), specjalnie do wygodnego i bezpiecznego przejeżdżania przez jezdnię samochodową. Jest to przyjazne rozwiązanie zwłaszcza dla osób jeżdżących rowerem po zakupy, bo przejeżdżanie przez krawężnik z obładowanym koszykiem, sakwą czy torbami na ramionach ani przyjemne, ani bezpieczne dla delikatniejszych produktów (jajka, owoce) nie jest. To proste rozwiązanie wprowadzone w Polsce z pewnością zwiększyłoby liczbę osób rezygnujących z dojeżdżania na zakupy samochodem, a za to jeżdżących po nie rowerem.

> WIELE RAZY WIDZIAŁEM, ŻE PRZEJŚCIE DLA PIESZYCH JEST PRAKTYCZNIE POZBAWIONE KRAWĘŻNIKA, A DLA ROWERZYSTÓW – NIE.

Ale dla odmiany wyższe krawężniki zrobione są w Holandii między drogami rowerowymi a chodnikami, aby zniechęcać rowerzystów do skracania sobie drogi trasami dla pieszych. Czego z kolei nie ma w Polsce, a co przy rosnącej liczbie rowerzystów mogłoby się przydać.

Oświetlenie i oznakowanie

W Polsce kolorem czerwonym jezdni znakuje się zwykle przejazdy dla rowerów przez drogę. Ale same drogi rowerowe pomalowane na czerwono lub wyłożone czerwoną kostką są dość rzadkim widokiem. Zdarzają się, ale nie na tyle powszechnie, by intuicyjnie wywoływać myśl: „Skoro fragment drogi jest czerwony, to pewnie jest to ścieżka rowerowa". Dobrze byłoby to ujednolicić, jak w Holandii, aby zwiększyć intuicyjność, bezpieczeństwo i poczucie swobody na ścieżce rowerowej.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Dla odmiany tym, co u nas działa – mam wrażenie – lepiej niż w Holandii, jest oświetlenie na zwykłych przejazdach dla rowerów. Tam często piesi mają czerwone, w tym samym czasie, kiedy rowerzyści mają zielone, z niewiadomego powodu. Ale za to oświetlenie przejazdów przy torowiskach tramwajowych Holendrzy zorganizowali bardzo mądrze. Mianowicie kiedy nadjeżdża tramwaj, włącza się migające oświetlenie i ostrzegawcze dźwięki (naśladujące dzwonki). A ponieważ w kraju tym jest znacznie więcej przejść i przejazdów przez torowiska – u nas też by się przydało, by nie trzeba było się cofać nieraz nawet kilkadziesiąt, a czasem kilkaset metrów do przejścia na światłach – to taki patent jest bardzo przydatny, funkcjonalny i poprawiający bezpieczeństwo na drodze.

Parkingi rowerowe

Każdy, kto regularnie korzysta z roweru, nie cierpi tak zwanych łamiszprych, czyli parkingów rowerowych, między które wkłada się koło i zaczepia blokadę o szprychy. Są one niewygodne, ciasne, mogą odkształcać szprychy w kołach, a poza tym nie należą do bezpiecznych. Chociaż w Polsce kradzieże rowerów są obecnie dość rzadkie (w przeciwieństwie do Holandii, gdzie złodziejstwo rowerowe oraz baterii w elektrykach kwitnie w najlepsze), to trzeba pamiętać, że znacznie bezpieczniej jest zapiąć ramę roweru, a nie tylko koło. Trzeba więc stawiać na solidne metalowe barierki do przypinania, zamiast kiepskich, niefunkcjonalnych i tanich „łamiszprych".

Potrzebujemy także większej liczby parkingów rowerowych samych w sobie. Normą jest w wielu miejscach, że te, które są, zwykle są zajęte – szczególnie wiosną, latem i wczesną jesienią. Jeśli parkingi rowerowe stoją wolne w szczytowym sezonie rowerowym, to są to właśnie łamiszprychy, do których prawie nikt nie chce podpinać roweru. Wtedy lepiej poszukać płotu czy znaku drogowego i przy nim bezpiecznie zapiąć rower. Ale najlepszym rozwiązaniem byłoby stawianie porządnych barierek.

Kultura jazdy i prawo

W kwestii kultury jazdy oraz przepisów zacznę od tego, że doceniam to, że w Polsce motorowerami czy skuterami nie jeździ się po drogach rowerowych. W Holandii nawet małe autka elektryczne, takie trochę zadaszone skutery, mogą poruszać się po ścieżkach rowerowych, co według mnie jest absurdalne i zwyczajnie niebezpieczne.

Jednak w kwestii prawa Holendrzy mają jedną, ogromną zaletę, klejnot na skalę europejską. Jest nim prawie całkowity zakaz korzystania z hulajnóg elektrycznych na drogach publicznych – czyli prawie wszędzie. Istnieje tak wiele związanych z nimi obostrzeń, że mało komu chce się w to bawić, nie opłaca się też ich sprzedawać. Podobne prawo powinno zostać uchwalone u nas, aby skończyć z jedną z największych patologii drogowych, czyli hulajnogami elektrycznymi pędzącymi między rowerzystami, pieszymi i samochodami. W dodatku często, co wyjątkowo dla mnie niepojęte, będących do wynajęcia w ramach systemów miejskich. Nie jest to w pełni analogiczne porównanie, ale dobrze oddaje bezsens i niebezpieczeństwo: mianowicie wyobraźmy sobie wprowadzenie ruchu konnego na drogach samochodowych, tak o, na co dzień. Mniej więcej tak samo bezsensowne i ryzykowne jest dopuszczanie elektrycznych hulajnóg na drogach rowerowych. Niech urządzenia te pozostaną co najwyżej endemitem Doliny Krzemowej.

Na koniec, mimo tylu punktów do poprawy i powodów do narzekań, muszę przyznać, że nasze drogi rowerowe i tak znacząco się poprawiły na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Pamiętam z dzieciństwa, że wówczas niemalże nie istniały, nawet w Poznaniu. Rower traktowany był jako przeżytek przeszłości, a w najlepszym razie jak zabawka dla dzieciaków i nastolatków lub jako sport wyczynowy dla kolarzy. Zmiana podejścia na poważne sprawiła, że powstało wiele dróg i pasów rowerowych. Mniej lub bardziej profesjonalnych, ale one są. Teraz czas na to, aby je ulepszać oraz tworzyć nowe. Nawet większe finansowe inwestycje w rowerową infrastrukturę staną się drobnymi wydatkami, gdy uświadomimy sobie, jak znakomitym sposobem przeciwdziałania otyłości, chorobom serca, nowotworom czy zaburzeniom nastroju jest dobra, systemowa kultura poruszania się po mieście rowerem.

POTRZEBUJEMY WIĘKSZEJ LICZBY PARKINGÓW ROWEROWYCH SAMYCH W SOBIE. NORMĄ JEST W WIELU MIEJSCACH, ŻE TE, KTÓRE SĄ, ZWYKLE SĄ ZAJĘTE – SZCZEGÓLNIE WIOSNĄ, LATEM I WCZESNĄ JESIENIĄ.

eprasa.pl 8a00c38e4c

SPONSOROWANE

Fot. arch.

Regionalne obchody Lubelskiego Lipca

26 lipca 2020 r. Lublin stał się miejscem wyjątkowych uroczystości. W archikatedrze lubelskiej odprawiono Mszę Świętą inaugurującą regionalne obchody 40. rocznicy Lubelskiego Lipca – robotniczych strajków, które poprzedziły Sierpień '80 i dały początek Solidarności. To właśnie w Lubelskiem, w Świdniku, 11 lipca 1980 r. podpisano pierwsze porozumienie z komunistyczną władzą. Tu „zaczęła się Polska droga do wolności".

Po Eucharystii uczestnicy obchodów przenieśli się do auli Caritas przy alei Unii Lubelskiej, gdzie odbyła się uroczysta gala z udziałem bohaterów tamtych dni, związkowców, przedstawicieli władz państwowych i samorządowych. W wydarzeniu uczestniczyli m.in. Piotr Duda – przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", Artur Soboń – wiceminister aktywów państwowych, Lech Sprawka – wojewoda lubelski, Jarosław Szarek – prezes IPN, oraz Marian Król – przewodniczący Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność".

Po wprowadzeniu sztandarów i odśpiewaniu hymnu narodowego odbyły się wystąpienia okolicznościowe. Podkreślano w nich, że Lubelski Lipiec to nie tylko ważny moment w historii Polski, ale także przykład odpowiedzialnej i pokojowej formy protestu. – Robotnicy z Lubelszczyzny nie wyszli na ulice, ale zostali w zakładach pracy. To była decyzja odważna i mądra, która uchroniła protest przed prowokacjami – podkreślił jeden z mówców.

Uroczystość była też okazją do wręczenia odznaczeń osobom zasłużonym w upamiętnianiu tamtych wydarzeń oraz świadkom historii. Oficjalną część zakończył koncert Orkiestry Trybunału Koronnego w Lublinie.

Obchody miały nie tylko charakter jednego dnia. Już wcześniej, w czerwcu, odbyło się seminarium naukowe pt. „Stąd ruszyła lawina...", a także finał ogólnopolskiego konkursu historycznego o Lubelskim Lipcu, skierowanego do dzieci i młodzieży. Zorganizowano wystawy IPN i MPK w przestrzeni miejskiej, pokazując dokumenty, fotografie i świadectwa robotniczego zrywu.

W ramach #LubelskieTuSięZaczęło – kampanii informacyjnej w całej Polsce – pojawiły się billboardy przypominające o strajkach lipca 1980 r. Region Środkowo-Wschodni NSZZ „Solidarność" przygotował także publikacje: książkę „Stąd ruszyła lawina" oraz broszurę „Przed sierpniem był lipiec". Telewizja TVP3 Lublin wyemitowała film dokumentalny „Mocni nadzieją", a Radio Lublin przygotowało audycję „Na początku był lipiec" – codzienną kronikę wydarzeń z lata 1980 roku, opartą na źródłach i wspomnieniach uczestników.

Nie zapomniano także o najmłodszych. Fundacja Ruchu Solidarności Rodzin zorganizowała grę miejską „Lubelskie Lipce na przestrzeni dziejów Lublina" oraz plenerową galerię dziecięcych prac plastycznych pod zamkiem. Władze regionu przygotowały również pamiątkowe medale, ryngrafy i znaczki. Wszystkie działania objęte zostały Narodowym Patronatem Prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Lubelski Lipiec 1980 roku nie był tylko preludium do Sierpnia – był kamieniem milowym na drodze do wolnej Polski. Tegoroczne obchody przypomniały o sile solidarności, odwadze zwykłych ludzi i o tym, że wielkie zmiany często zaczynają się lokalnie – „tu się zaczęło".

Partnerem wydarzenia jest Województwo Lubelskie w ramach programu „Warto być Polakiem".

Lubelskie
Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego

Warto być Polakiem
CELEM PROGRAMU JEST PIELĘGNOWANIE POLSKOŚCI I WARTOŚCI PATRIOTYCZNYCH
www.lubelskie.pl

eprasa.pl 8a00c38e4c

KULTURA

Czytaj też:
Młodzi kręcą 54
Kosmos na co dzień 58
„Kino grozy jako zwierciadło społeczne” 62
Jak zostać komiksiarzem? 66

Jesteśmy TACY SAMI

Fot. mat. prasowe

– Jesteśmy swojscy. Nie chcemy być w grupie ludzi, którzy mają kij w czterech literach. Chcemy być sobą i dzięki temu jesteśmy autentyczni, dlatego słuchacze lubią naszą muzykę – mówią **Qinga** i **Matt Palmer** w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Czuć miłość w Waszym utworze „Bez siebie”. Mogłaby z powodzeniem być wykorzystywana do pierwszego tańca na weselu.

Qinga: – Właśnie o tym niedawno rozmawialiśmy.

– Taki był cel tego utworu?

Matt Palmer: – Nie. Miał być autentyczny i opowiadać o prawdziwej historii. Jesteśmy artystami. Czasami jest tak, że kiedy tworzysz muzę, to inspirujesz się życiem – swoim albo innych osób. W tym przypadku zrobiliśmy utwór, który jest naszą historią w stu procentach.

– Jaka była Wasza historia?

M.P.: – Poznaliśmy się za pośrednictwem mediów społecznościowych jak większość ludzi obecnie. Nasze drogi się połączyły, ponieważ oboje byliśmy w programach telewizyjnych. Brałem udział w pierwszej edycji „Hotelu Paradise”, a Qinga w „40 kontra 20”. Nasza popularność rozpoczęła się w telewizji, co przyczyniło się do wzrostu liczby naszych obserwujących.

– Dlaczego postawiliście na muzykę?

Q.: – Moja historia z muzyką rozpoczęła się przez Mateusza. Już od dziecka rozwijałam się wokalnie i tanecznie. Od najmłodszych lat interesował mnie taniec towarzyski. Udzielałam się w konkursach wokalnych w mojej rodzinnej Ostrołęce. Później zboczyłam z artystycznej trasy i poszłam na studia prawnicze. Jestem prawnikiem z wykształcenia. Przez pięć lat byłam skupiona na studiowaniu i książkach. Był to bardzo wymagający kierunek.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Po dwóch latach burzliwej relacji – pełnej miłości, rozstań, blokad, publicznych spięć i prób zapomnienia – Matt Palmer i Qinga **wracają ze wspólnym utworem**, który jest szczerym zapisem ich własnej historii. Piosenka powstała już rok temu, ale dopiero teraz – po czasie, który wiele zmienił – nabrała prawdziwego znaczenia.

M.P.: – Żałuję, że nie mówisz o tym zbyt często. To jest olbrzymi powód do dumy. Ktoś widzi Qingę i doznaje szoku, że skończyła studia prawnicze. Zawsze wszyscy są zdziwieni.
Q.: – Taka jest moja historia. Później poznałam Mateusza. Kiedy zobaczył mnie w programie, od razu mu się spodobałam. Zaczęliśmy pisać i zaczęła się nasza...
M.P.: – ...długa burzliwa historia [śmiech].

– Skąd czerpiecie entuzjazm do życia i pracy?
M.P.: – Jesteśmy swojscy. Nie chcemy być w grupie ludzi, którzy mają kij w czterech literach. Chcemy być sobą i dzięki temu jesteśmy autentyczni, dlatego słuchacze lubią naszą muzykę.

– Jak wyraża się sympatia Waszych słuchaczy?
M.P.: – Dostaję bardzo dużo wiadomości od ludzi po koncertach. Piszą, że mój występ im się podobał i że jestem normalnym gościem, który swoje przeszedł. Na wiele lat wyjechałem do Londynu.

– Co tam robiłeś?
M.P.: – Uczyłem się. Kończyłem motoryzacyjną szkołę zawodową. Później miałem swój biznes w branży ochrony. Po tym epizodzie stwierdziłem, że chcę spróbować czegoś nowego, i postawiłem na media społecznościowe.

– Czyli wysłałeś zgłoszenie do „Hotelu Paradise"?
M.P.: – Napisała do mnie ekipa produkcyjna. Stwierdzili, że dobrze wyglądam, i zapytali mnie, czy chcę wziąć udział w programie telewizyjnym. To był superprogram, bo uczestniczyli w nim normalni ludzie. Nie byli przerysowani. Dlatego wiele osób kocha ten program.

JESTEŚMY JAK WŁOSKA RODZINA I KŁÓCIMY SIĘ WIDOWISKOWO.

– Nie obawiacie się, że ludzie będą traktować Wasz utwór „Bez siebie" jako kolejny kawałek disco polo?
M.P.: – Polska nie jest jeszcze gotowa na naszą stylistykę. Ten numer jest inny od tych, które zwykle robię, czyli latino i reggaeton. Słuchacze w Polsce traktują te stylistyki jako pochodne disco polo. Chociaż ta opinia już się zmienia.
Q.: – Wciąż się mówi, że latino i reggaeton są w nurcie disco polo. Nasz utwór to zdecydowanie pop, a nie disco polo. Piosenka jest w stylistyce retro i synth, czyli w takich, które są obecnie modne na Zachodzie. Numer napisaliśmy razem. Siedzieliśmy sobie w domu i stwierdziliśmy, że pójdziemy z nim do studia.
M.P.: – Wówczas planowaliśmy wrócić do siebie.
Q.: – To była Twoja próba powrotu [śmiech]. Fakt jest taki, że usiedliśmy i zaczęliśmy pisać. On jeden wers, ja drugi. Numer skończyliśmy pisać o 4–5 nad ranem. Potem patrzyliśmy na siebie i się śmialiśmy. Emocje siedziały w nas bardzo mocno. Jesteśmy jak włoska rodzina i kłócimy się widowiskowo.

W PROGRAMACH TYPU REALITY SHOW JESTEŚMY RZUCANI NA GŁĘBOKĄ WODĘ.

– Chciałbym to zobaczyć!
M.P.: – Teraz nasze kłótnie wyglądają zupełnie inaczej [śmiech]. Czas zmienia ludzi.
Q.: – Mateusz ma rację. Jesteśmy charakterni i temperamentni.
M.P.: – Jesteśmy tacy sami. Totalnie ekstrawertyczni.
Q.: – Ja jestem trochę introwertyczna.

– Tak? Z której strony?
M.P.: – Lubimy mieć spokój w domu. Nasz dom jest naszą oazą. Na szczęście znalazłem balans w życiu, bo kiedyś go nie miałem. Wszystko kręciło się wokół imprezowania. Teraz, gdy kończę koncert, to chcę od razu wrócić do domu.

– Mateuszu, to się nazywa dojrzałość.
M.P.: – To prawda. Chcę mieć spokój.

– Qingo, z jakich swoich osiągnięć jesteś najbardziej dumna?
Q.: – Nieważne są osiągnięcia, ważne jest to, skąd zaczynałam. Nie miałam niczego podanego na tacy. Musiałam bardzo ciężko pracować, żeby zarobić na moje studia prawnicze, musiałam zostawić pracę w korporacji. Chciałam spełnić

eprasa.pl 8a00c38e4c

marzenia i zostać prawnikiem. Rzuciłam wszystko, pojechałam do Holandii i zbierałam paprykę w szklarni. Kiedy na czymś mi zależy, to jestem bardzo ambitna, pracowita i uparta, żeby osiągnąć zamierzony cel.

– Ludzie, patrząc na Ciebie, będą Cię oceniać bardzo powierzchownie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Q.: – Wiem o tym. Polska bardzo stygmatyzuje, i ja niestety też to robię. To jest nasza natura. Natomiast wszystko, o czym marzyłam i o czym nadal marzę, staram się zdobywać w zgodzie ze swoim kręgosłupem moralnym i własnymi wartościami. Dodam do tego ciężką pracę bez ślizgania się na czyimś tyłku.

– Wiesz, że przez to będziesz miała trudniej?

Q.: – Już mam. Dziękuję Bogu za moją aparycję i za to, że zostałam obdarzona różnymi atutami. Jednak w życiu jest to duże obciążenie. Kobieta, która szanuje granice i swoje wartości, ma zdecydowanie trudniej. Bo każdy patrzy na nią powierzchownie. Z drugiej strony, ktoś może nie dostrzec głębszej wersji mnie.

– Dziękujesz Bogu – jesteś osobą wierzącą?

Q.: – Tak.

– A modlisz się do jakiegoś świętego, żeby pomógł Ci w Twojej karierze?

Q.: – Nie modlę się do żadnego świętego o sławę. Jak Bóg rozdawał talenty, to stałam w kolejce po urok osobisty, a nie po prowadzenie samochodu.

– Niedawno rozmawiałem z Diiyą, która ma podobną stylistykę. Nie myślałaś o tym, żeby nagrać z nią wspólny utwór?

Q.: – To dobry pomysł. Ona ma korzenie góralskie, a ja kurpiowskie. Moja folkowa muzyka nie wzięła się znikąd. U mnie w rodzinie zawsze był folk. Znam dużo przyśpiewek kurpiowskich, one są bardzo prześmiewcze. W ubiegłym roku wydałam folkową piosenkę „Talarki", i to siadło. Ja tę stylistykę czuję w sercu. Ta muzyka z powodzeniem może być rozrywką dla ludzi. Co do zasady moje kawałki są bardzo mocne, emocjonalne, mówią o romantycznych relacjach międzyludzkich. A „Talarki" są do kielicha, kiełbasy, grania i śpiewania.

LUBIMY MIEĆ SPOKÓJ W DOMU. NASZ DOM JEST NASZĄ OAZĄ.

– Myśleliście o piosence latino w duecie?

M.P.: – Jest taka opcja. Nie ma czegoś takiego w Polsce. Latino jest bardzo świeżą stylistyką muzyczną w naszym kraju. Teraz ma swoje... 5 minut. W momencie, gdy wydaliśmy nasz wspólny utwór, już powstawało coś w stylu latino i reggaetonowym. Będzie się działo.

– Latino wejdzie na miejsce trapu, który wciąż jest popularny w Polsce?

Q.: – Tak już się powoli dzieje.

M.P.: – Za dziesięć lat będę jak Daddy Yankee. Na polskim rynku jest mało wykonawców, którzy działają w stylistyce latino. Każdy ma swój wyjątkowy styl, ale muzykę robimy podobną.

– Dlaczego jest Was tak mało w mediach pomimo bardzo dobrych wyników w serwisach streamingowych i na YouTubie?

M.P.: – Jesteśmy specyficzni i przez to ludzie mogą nas nie lubić. Jeste-

Utwór „Bez ciebie"

To muzyczna opowieść o tym, że choć możemy się ranić, oddalać i walczyć – niektórych osób nie da się po prostu wyrzucić z serca. Bo kiedy między dwojgiem ludzi istnieje silna więź, życie bez siebie jest trudne. Utwór balansuje na granicy ballady, popu, latino i retro disco – z wyczuwalną inspiracją twórczością światowej gwiazdy Rauw Alejandro. Za produkcję odpowiada Crack House, który stworzył hipnotyzujący, zmysłowy beat – idealne tło pod emocjonalne linie wokalne i prawdziwy tekst autorstwa Matta Palmera i Qingi. Matt Palmer to jeden z najpopularniejszych artystów latino-reggaeton w Polsce, autor hitów takich jak „Barcelona" czy „Była Piękna", z trzema złotymi i dwiema platynowymi płytami na koncie oraz dziesiątkami milionów odsłon i streamów. Qinga to artystka, która w błyskawicznym tempie podbiła internetowe trendy – jej utwory „Róże" czy „Talarki" wielokrotnie trafiały na karty „na czasie" i rozchodziły się wiralowo po całej sieci. Teraz po raz pierwszy spotykają się we wspólnym projekcie – całkowicie nowym stylowo, ale w 100% autentycznym emocjonalnie. To nie tylko muzyka. To historia, która wydarzyła się naprawdę.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Qinga i Matt Palmer

Mateusz Szek (Matt Palmer) i Kinga Zapadka (Qinga) to znane osoby publiczne, które zyskały ogólnopolską rozpoznawalność dzięki udziałowi w popularnych programach telewizyjnych, takich jak „Hotel Paradise" (TVN7) oraz „40 vs 20". Od wielu lat są również aktywni w mediach społecznościowych, gdzie łącznie generują milionowe zasięgi. Ich profile obserwowane są przez ogromną liczbę fanów zarówno ze świata influencerów, jak i słuchaczy muzyki. Nie są to anonimowe postacie – to rozpoznawalni twórcy, którzy przeszli drogę od telewizji i internetu do świata muzyki, w którym coraz śmielej zaznaczają swoją obecność. Ich połączenie medialności, talentu i autentyczności sprawia, że każdy ich ruch budzi zainteresowanie.

śmy indywidualistami. Przez to media mogą nie chcieć nas promować. Oni wolą ludzi, którymi mogą manipulować. Kazać im tańczyć, tak jak oni zagrają. Żaden z uczestników „Hotelu Paradise" nie ma takich osiągnięć muzycznych jak ja.

– Powinieneś zaśpiewać piosenkę do czołówki.

M.P.: – Na przykład.

Q.: – Ostatnio rozmawialiśmy z Mateuszem o programach typu reality show. Ich uczestnicy są tam rzucani na głęboką wodę. Są zamknięci w swoim świecie. Ja np. byłam sześć tygodni z dala od rodziny i bez telefonu. Później wychodzi się z programu i nie ma opieki psychologicznej, a ludzie pozostawieni są sami sobie. A potem dzieją się różne rzeczy, jak depresje czy samobójstwa.

– Czyli Was wykorzystują?

Q.: – Myślę, że tak. To jest trochę tak, jak na modelkę zakłada się ładną sukienkę, potem ona chodzi w niej po wybiegu i dobrze wygląda. A potem? Następna i następna.

M.P.: – Jesteśmy produktem.

– Cieszę się, że jesteśmy szczerzy, bo ja też jestem produktem.

M.P.: – Na szczęście mamy grupę osób, która nas słucha i bardzo lubi. Powoli będziemy tworzyć dużą twierdzę. Kwestia czasu.

– Myślicie, że duże wytwórnie muzyczne położą łapę na latino, tak jak teraz się to dzieje z polskim rapem?

M.P.: – Myślę, że nigdy się tak nie stanie.

Q.: – Uważam inaczej. Myślę, że zrobią to, tylko nie od razu.

– Zgadzam się z Qingą. Może za cztery lata.

M.P.: – Po dłuższym zastanowiemni zmieniam zdanie – może nie nigdy. Chociaż moja pierwsza myśl będzie słuszna, jeżeli ludziom w Polsce latino się przeje.

– Qingo, folk, latino czy pop?

Q.: – Zależy, co w sercu gra.

– A teraz, co gra?

Q.: – Teraz myślę o tym, żeby wejść w bachatę. Nie jest popularna w Polsce w kontekście muzycznym. Zobaczymy jeszcze, co z tego wyniknie.

– Jak ważne są dla Was liczby?

Q.: – Na pewno bierzemy je pod uwagę. Muzyka nie jest tania, a finansujemy ją ze swoich środków. Jak ktoś mówi, że nie patrzy na liczby, to do końca w to nie wierzę.

– Dałbym radę podbić rynek latino w Polsce jako naturszczyk?

M.P.: – Masz osobowość. Jeżeli potrafisz ciężko pracować, to jesteśmy w stanie dać Ci narzędzia, które pomogą Ci stworzyć siebie w latino.

Q.: – Przede wszystkim charyzma. Jeżeli nie dasz rady drzwiami, wchodzisz oknem. A jak to nic nie pomoże, to wrzucasz granat i jest wielkie bum. Jeżeli na czymś Ci zależy, to nie ma bata, robisz to, koniec i kropka.

M.P.: – Miałem pomysł, żeby pozbierać kilku utalentowanych artystów, którzy robią rap, i wkręcić ich w latino. Raper może robić latino i reggaeton. I Rizi Papi to zrobił. W muzyce trzeba spróbować różnych rzeczy.

JESTEŚMY PRODUKTEM.

– Qingo, wracając do Twoich studiów prawniczych, to o jakiej drodze myślałaś?

Q.: – Myślałam o aplikacji prokuratorskiej. Byłabym superoskarżycielką. Jak widzę togę z czerwonymi elementami, to mam łezkę w oku.

– Co chcielibyście naprawić w branży muzycznej w Polsce?

Q.: – Żeby latino i reggaeton nie były wrzucane do szufladki z napisem „disco polo", bo to nie jest ten sam gatunek. Osoba, która zna się na muzyce, słyszy, że jest inna rytmika i inaczej rozłożone są akcenty w utworach.

M.P.: – Chcielibyśmy być szanowani w mediach głównego nurtu. Powinno się szanować artystów, którzy osiągają wielomilionowe wyświetlenia, grają koncerty, na które przychodzi mnóstwo ludzi. Rozbijamy wszelkie mury.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Młodzi kręcą

Kameralne Lato to impreza, która odbywa się od 2008 roku. Pierwsza edycja gościła w Pionkach, rok później stałym miejscem festiwalu stał się Radom. Od 2022 roku towarzyszy mu odbywający się równolegle Freedom Film Festival prezentujący krótkometrażowe filmy twórców z całego świata. Kameralne Lato natomiast nadal skupia się na pokazywaniu produkcji **młodych i bardzo młodych** twórców oraz działalności edukacyjnej dla młodzieży zainteresowanej tworzeniem filmów. O czym przedstawiciele młodego pokolenia filmowców chcą nam dziś opowiedzieć?

Krzysztof Karnkowski

Nim odpowiemy sobie na to pytanie, trzeba jeszcze przyjrzeć się strukturze tej złożonej imprezy. W ramach obu festiwali polskie produkcje możemy obejrzeć w ramach trzech bloków pokazów: „Wysokich Lotów" i Konkursu Filmów Odrzutowych „Hyde Park", które odbywają się w ramach Kameralnego Lata, oraz Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych będącego częścią Freedom Film Festival. Ten podział ma swoje uzasadnienie. „Wysokie Loty" pokazują filmy najmłodszych

Międzynarodowe Spotkania Filmowe KAMERALNE LATO

Fot. Dominik Musiałek

eprasa.pl 8a00c38e4c

twórców, często działających w lokalnych stowarzyszeniach lub przy swoich szkołach średnich. „Hyde Park” pokazuje filmy, które zdaniem samych twórców z różnych powodów nie mają szans na inne festiwale jako eksperymenty, wygłupy, dzieła nietypowe lub po prostu w starym stylu, amatorskie. Dawne kino niezależne się bowiem w międzyczasie dość mocno sprofesjonalizowało, znajdując często przystań w rozmaitych programach dla młodych twórców, prowadzonych przez szkoły filmowe, stacje telewizyjne i studia produkcyjne. I taka właśnie oferta prezentowana jest w konkursie filmów krótkometrażowych.

Zacznijmy od tego, co widzowie zobaczyć mogli podczas najbardziej szalonego pokazu, czyli Konkursu Filmów Odrzutowych. Ideę stojącą za tym przedsięwzięciem chyba całkiem dobrze definiuje film, który w tym roku wygrał głosowanie publiczności. „Podbój terytorium” to rasowe kino gangsterskie opowiadające o walce dwóch klanów o dominację w małym miasteczku. Mamy tu (udawaną) przemoc, interesy, mafijne meliny w klubach... tyle że wszystko zamknięte w sześciu minutach filmiku przygotowanego przez składającą się z sześciu zdolnych i pozbawionych kompleksów chłopaków w wieku 11–15 lat z grupy filmowej „Mirabelki” z Ińska. Uwaga, ten film znajdą Państwo również na YouTubie. Poza „Podbojem...” zobaczyć mogliśmy między innymi szaloną komedię o poszukiwaniu złodzieja kiełbasy znikającej ze szpitalnej lodówki („Krucha, swojska, wędzona” Wawrzyńca Turowskiego), mroczną komedię pełną ducha polskiego kina niezależnego „Biwakowicz” weterana tej sceny, czyli Tomira Dąbrowskiego, satyrę współczesną „Sobota” Wiesława Zielińskiego, chyba najstarszego z autorów (rocznik ’67), a nawet rasowy horror „Weles” Dominika Goneta. Oprócz tego garść brawurowych animacji, z których najbardziej podobała mi się „Tu szybko palić” Michała Kotwicy. W tym kinie najmniej było mówienia o problemach (choć i one się pojawiły), a najwięcej zabawy i szaleństwa.

DAWNE KINO NIEZALEŻNE SIĘ DOŚĆ MOCNO SPROFESJONALIZOWAŁO, ZNAJDUJĄC CZĘSTO PRZYSTAŃ W ROZMAITYCH PROGRAMACH DLA MŁODYCH TWÓRCÓW.

„Wysokie loty” to już trochę inna historia. Tę część przeglądu wygrał najdłuższy (18 minut) z pokazanych filmów „Niedaleko pada jabłko” Łukasza Sosnowskiego i Szymona Szulakowskiego. To utrzymana w konwencji horroru opowieść o synu alkoholika, który wraca po latach do rodzinnego domu. Inne problemy, których w najciekawszy sposób dotknęli młodzi twórcy, to: osamotnienie i potrzeba bliskości („Pociąg donikąd”, reż. Aleksander Szeląg; „Take it easy” Idy Kunze – ten drugi o tyle ciekawy, że początkowo udaje amerykański serial dla nastolatków, by nagle wrzucić bohatera do szarego polskiego liceum), ograniczenie człowieka przez własne lęki („Pchły w słoiku” Leszka Leszczyńskiego), rozterki związane z wyborem drogi życiowej („Wybór”, reż. Marcjanna Wołoszyn) czy nawet poważne dylematy moralne w umieszczonej gdzieś na pograniczu horroru i moralitetu „Cenie duszy” suwalskiej maturzystki Wiktorii Jaworowskiej. W tym ostatnim filmie lekarz odwiedzający chorą matkę okazuje się diabłem, który i dla niej, i dla jej syna ma swoją ofertę. To tylko kilka minut, ale ten czas wystarcza na podbudowanie widza. Oczywiście i tu pojawiają się ciekawe animacje (np. „Odwiedził mnie dziś wieloryb”, w którym Matylda Maciejewska symbolicznie opowiada o depresji i wyobcowaniu) i filmy z pogranicza fantazji. Oddzielnie warto wspomnieć o „Historii pewnej znajomości” Karoliny Zielińskiej. Zielińska to pochodząca z Radomia studentka psychologii, która postanowiła w opowieść o spotkaniu dwójki młodych ludzi wpleść kawałek historii swojego miasta. Akcja filmu toczy się więc tuż po Czerwcu ’76, a młodzi bohaterowie okazują się postawieni po dwóch stronach historii. A ta – wciąż jest żywa dla mieszkańców miasta. Ostatni film, na który chciałbym zwrócić uwagę, to „Marionetki” Franciszka Chwedorczuka. To autorski żart oparty na „Lalce” Bolesława Prusa – do znalezienia na YouTubie. Razem na „Wysokich Lotach” obejrzeliśmy 16 filmów

W RAMACH OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU FILMÓW KRÓTKOMETRAŻOWYCH ZOBACZYLIŚMY 25 KRÓTKICH, LECZ JUŻ PRAKTYCZNIE W PEŁNI PROFESJONALNYCH PRODUKCJI.

eprasa.pl 8a00c38e4c

twórców, którzy nie skończyli jeszcze 20 lat. Można mieć nadzieję, że przynajmniej część z nich dalej będzie robić filmy, ponieważ prawie wszyscy mają coś do powiedzenia, a większość z nich potrafi to również pokazać lub jest na dobrej drodze, by się tego nauczyć.

W ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych zobaczyliśmy 25 krótkich, lecz już praktycznie w pełni profesjonalnych produkcji. Tu też mieliśmy do czynienia z dużym rozrzutem stylistycznym i tematycznym. Widzieliśmy więc dokumenty o dzielących się refleksjami podczas gimnastyki pensjonariuszach sanatorium („Powtórzenia", reż. Maciej Czuchryta), nagrodzonego „Świeżaka" – kręconą przez kilka lat opowieść o chłopakach z poprawczaka autorstwa Michała Edelmana i Tomasza Pawlika – czy „Olgę" Lulu Pomorovej pokazującą nie najszczęśliwsze życie żyjącej z różnych form udostępniania swego ciała uczestniczki protestów zwolenniczek aborcji. Wątki LGBT pojawiają się w filmie „Królowe" Sary Bustamante-Drozdek, którego puentę jednak – raczej wbrew intencjom autorki – można uznać za całkiem konserwatywną. Na pograniczu dokumentu i animacji umiejscowił się „Drogi Leo Sokolovsky" Weroniki Szymy – ubrany w formę filmu animowanego list do kolegi dziadka nadawczyni z obozu jenieckiego. W filmach często przewijał się wątek wielokulturowości, przy czym sposób jej ukazania był bardzo odległy zarówno od lewicowego, jak i prawicowego stereotypu. „Entropia" Anny Fam-Riekaniemi, Polki o wietnamskich korzeniach, pokazuje, jak proces asymilacji Wietnamczyków w Polsce wpływa na tę społeczność i powstające w jej ramach relacje międzypokoleniowe. „Przybieżeli" Bartosza Brzezińskiego i „Pilotka" Katarzyny Bojkowskiej dotykają trwającego kryzysu migracyjnego. „Przybieżeli" używa środków typowych dla rasowego horroru, w którym świeżo owdowiała Podlasianka, znakomicie zagrana przez Dorotę Pomykałę, nie wie, czy w jej lekko przerażającym domu ukrywa się duch jej męża, czy uchodźca, czy jeden i drugi. Z kolei „Pilotka" to poruszający thriller psychologiczny, w którym tytułowa opiekunka wycieczki niewidomych pomaga przedostać się bliskowschodniemu uciekinierowi do Niemiec. Gdy jego obecność odkrywa reszta kadry, dochodzi do spiętrzenia dramatycznych wydarzeń. Warto docenić, że Bojkowska, sama mająca w CV pilotowanie wycieczek, pokazuje tu racje wszystkich stron wybuchającego sporu – i każda z nich jest racjonalna i dobrze umotywowana, nawet jeśli ktoś wydaje się zbyt zimny i bezduszny.

Kolejny poruszany w konkursowych filmach problem to niesprawność intelektualna i jej konsekwencje. Większość festiwalowych nagród zdobył film „Ave Ewa" Agnieszki Nowosielskiej opowiadający o burzliwym dojrzeniu płciowym tytułowej bohaterki (brawurowa kreacja Zofii Zoń), która zupełnie nie wie, co się z nią dzieje i co właśnie przeżywa. Wie to za to jej ojciec (w tej roli Andrzej Chyra), jednak trudno jest mu sobie z nią poradzić. Uprzedzam, że to film trudny, dla wielu widzów potencjalnie zbyt trudny, dotykający problemu, przed którym poza rodzicami chorych każdy chciałby raczej uciec. Drugi obraz dotykający tematu niepełnosprawności to „Syn szczęścia" – historia ojca opiekującego się synem z zespołem Downa i marzącego o karierze aktorskiej. W tej ostatniej roli wystąpił autentyczny chory Jan Skiba, z którym – tak samo jak z jego rodziną – reżyserowi Dominikowi Mireckiemu pracowało się bardzo dobrze. „Syn szczęścia" to opowieść ciepła, jednak trzymająca się realizmu.

Różne aspekty nowych mediów pokazali Agnieszka Kalińska w filmie „Essa" i Patryk Kaflowski w „Dniu ojca". Kalińska pokazuje świat współczesnych nastolatek, w którym najważniejsze są media społecznościowe, więc i główną gwiazdą socjogramu dużo młodszych dzieci jest starsza siostra urządzającej imprezę dziewczynki – influencerka. Kaflowski z kolei pokazuje nam bardzo gęstą opowieść o dziennikarzu, który stracił syna, i jego adwersarzu – internetowym fanie teorii spiskowych, który kwestionuje

JAKO DZIENNIKARZA „TS" NAJMOCNIEJ POWINNY INTERESOWAĆ MNIE PROBLEMY ŚWIATA PRACY. I TAK, RÓWNIEŻ ONE ZNAJDUJĄ SWOJE ODZWIERCIEDLENIE W POKAZYWANYCH PRZEZ MŁODYCH TWÓRCÓW FILMACH.

eprasa.pl 8a00c38e4c

tragedię pochłaniającą między innymi to właśnie dziecko. No dobrze, ale jako dziennikarza „Tygodnika Solidarność” najmocniej powinny interesować mnie problemy świata pracy. I tak, również one znajdują swoje odzwierciedlenie w pokazywanych przez młodych twórców filmach. Zaskakujący finał przybiera rekrutacja, zderzająca dwóch starych rekruterów z młodą, mającą niewyjawiony przed widzem problem ze sobą aplikantką w „Królowej mrówek” Michała Mroza. „Love Proxy” to zamknięta w biurowej przestrzeni futurystyczna historia, rozgrywająca się w korporacji przyszłości. Firma może kreować klony i awatary pracowników, lecz jedno się nie zmienia – szef nadal potrafi być mobbingującym, antypatycznym bucem i korzysta z tej możliwości, dopóki może.

Ostatnio miałem okazję pisać do „TS” o wątku kibicowskim w dużych produkcjach telewizyjnych. Bardzo miłą odskocznią, a zarazem dopełnieniem tematu okazał się film Natalii Nylec „Fiber” opowiadający o dziewczynie – kibicce jednej ze śląskich drużyn – i jej życiu toczonym przez konflikty z rodzicami, kibicami wrogiej drużyny z tej samej aglomeracji, wreszcie z jej własnymi przyjaciółmi. Film jest bardzo sprawnie zrealizowany, wiarygodny, a zarazem bardzo ciekawie poprowadzony. Dość ciężki klimat przełamują bardziej komediowe sceny, wśród których najciekawsza jest wyprawa zawróconej pielgrzymki. Realizmu dodaje filmowi wymieszanie literackiej polszczyzny z gwarą śląską, pokazujące realia życia bohaterów. Dodatkowym atutem tego obrazu jest gra Zofii Gołaj i bardzo dojrzałe, plastyczne zdjęcia.

MAMY WIELU BARDZO ZDOLNYCH TWÓRCÓW, KTÓRZY – JEŚLI DOSTANĄ ODPOWIEDNIE MOŻLIWOŚCI – BĘDĄ DLA NAS ROBIĆ NAPRAWDĘ DOBRE FILMY.

Poza tymi wątkami znajdują się jeszcze filmy lżejsze, jak bardzo fajny „Taniec w narożniku” Piotra Bujnowskiego, w którym życie bohatera splata się z fatalną grą polskiej reprezentacji i magicznym starym, psującym się telewizorem, czy lekko bajkowy „Call me Lala” Zuzanny Sorówki, w którym grana przez Aleksandrę Pisulę zwariowana taksówkarka czeka na wyniki castingu i próbuje złapać swoją życiową szansę. Oczywiście nie zabrakło też animacji, wśród których wyróżniłbym „Złoty step” Macieja Liska, pokazujący w lekkiej formie poważny problem rabunkowej gospodarki w dalekiej Azji, i wzruszający „Brzask” Anny Karwali o niepogodzonym ze stratą najbliższej osoby misiu. Nie wspomniałem jeszcze o wielu filmach, a przecież każdy był na swój sposób wart uwagi.

Poza konkursem pokazano „Pod szarym niebem” Mary Tamkovich, zrealizowaną w Polsce w większości przez białoruską ekipę fabułę opartą na losach prześladowanej przez reżim Łukaszenki dziennikarki i walczącego o nią męża. Ogólne wnioski są jednak budujące. Mamy wielu bardzo zdolnych twórców, którzy – jeśli dostaną odpowiednie możliwości – będą dla nas robić naprawdę dobre filmy. Dzięki szkołom i wsparciu rozmaitych instytucji mają duże szanse, by osiągnąć ten cel. Jest jednak jedno „ale”. Jak mówiła mi w pofestiwalowej rozmowie Natalia Nylec, problem zaczyna się tak naprawdę wtedy, gdy ludzie pytają, gdzie można te filmy obejrzeć. I faktycznie poza obiegiem festiwalowym jest to dość trudne, czasem tylko coś pokaże późną nocą Canal+ lub inny kanał telewizyjny. Szkoda, bo przecież „nie po to światło, by pod korcem stało”. Oglądajcie filmy młodych twórców, a jeśli macie takie możliwości – pokazujcie je.

URLOP MICHALSKI

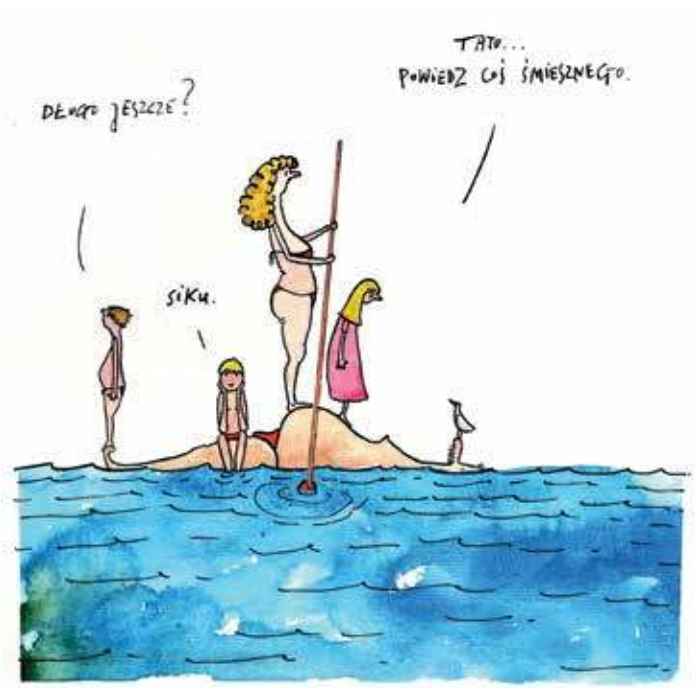

eprasa.pl 8a00c38e4c

Kosmos na co dzień

Fot. Adobe Stock

Tegoroczny udział Polaka w misji przedsięwziętej przez Europejską Agencję Kosmiczną kosztował Polskę 65 mln euro, ale specjaliści zapewniają, że wydatek zwróci się wielokrotnie. Bo przecież wiadomo, że wiele technicznych rozwiązań przydatnych w przestrzeni międzygwiezdnej znalazło przełożenie na **ziemską codzienność**.

Monika Małkowska

Ot, pierwsze z brzegu to spopularyzowanie „oddychającej" tkaniny o handlowej nazwie Gore-Tex czy aerożeli, superlekkich materiałów z czystej krzemionki, które znalazły zastosowanie przy produkcji zimowych okryć. A panele słoneczne jako dodatkowe źródła zasilania? A rozrusznik serca? Tomograf komputerowy? Czy wreszcie sieci bezprzewodowe, od dawna stały „składnik" naszego życia? Wszystko to i wiele innych udogodnień zawdzięczamy gwiazdom, ku którym wychylił się człowiek już 743 razy. Jednak liczą się nie tylko konkrety. Ważne są także inne aspekty podbijania kosmosu. Gdzie rezonują w najbardziej spektakularny sposób? W kulturze popularnej i elitarnej. W sztuce, muzyce, modzie. Inaczej mówiąc, makrokosmiczne trajektorie splatają się z ulicami większych i mniejszych miast.

Zaplecze polityczne

Kiedy Mirosław Hermaszewski odlatywał do Gwiezdnego Miasteczka pod Moskwą, w Polsce było niespokojnie. Po ogłoszeniu przez rząd Piotra Jaroszewicza drastycznych podwyżek cen urzędowych po kraju rozlała się fala strajków i protestów, później objętych wspólną nazwą Czerwiec '76. Nadzieję na rozładowanie napięć dawał radziecki międzynarodowy Program Interkosmos, do którego dokooptowano polskich reprezentantów, Hermaszewskiego właśnie i rezerwowo Zenona Jankowskiego. Misja pierwszego polskiego astronauty miała przesterować uwagę narodu z przyziemnych bytowych problemów na bardziej wzniosłe, pozaziemskie sprawy. PRL-owskim władzom udało się przekonać radzieckich towarzyszy, żeby zamiast kandydata z NRD statkiem Sojuz 30 poleciał Polak. Użyto przy tym argumentów ekonomicznych (Polska – główny partner handlowy ZSRR) i historycznych (nasza heroiczna walka z III Rzeszą). W rezultacie 27 czerwca 1978 roku z kosmodromu Bajkonur wystartowali dwaj astronauci: Rosjanin Piotr Klimuk i Mirosław Hermaszewski. Ich ośmiodniowy lot, owszem, nagłośniono w mediach – jednak skala tamtej popularności nie umywa się do rozgłosu, jaki nadano wyprawie Ax-4 z udziałem Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego, a także... jego partnerce. Trudno oprzeć się

wrażeniu, że namolność, z jaką temat od kilku tygodni przebija się we wszystkich mediach, supportuje obóz rządzący.

Bo Sławosz i Aleksandra, obydwoje dwojga nazwisk, to istotnie „para nasycona" podtekstami. Ona, 31-letnia posłanka na Sejm z ramienia KO, on – 41-letni utalentowany inżynier i badacz specjalizujący się w tematyce kosmicznej. Ich ślub, który nastąpił 2 stycznia bieżącego roku, okazał się wartością dodaną do sensacji ogłoszonej pięć miesięcy wcześniej. Wtedy to oficjalnie odtrąbiono udział Sławosza Uznańskiego w misji Ax-4, przygotowaną przez Europejską Agencję Kosmiczną. Ale, ale! Jest pewien szkopuł – Sławosz został włączony do międzynarodowej załogi jako astronauta projektowy ESA i choć podczas misji przeprowadził kilkanaście eksperymentów oraz badań, nie jest jasne, jaką korzyść z tego będzie miała Polska. W oficjalnym komunikacie znajdują się głównie ogólnikowe komunały: „Obecność Polaka w programie ESA to nie tylko prestiż, ale także realna szansa na wzmocnienie polskiego udziału w europejskich projektach kosmicznych – zarówno naukowych, jak i technologicznych. Dzięki takim wydarzeniom, jak HaloKOMOS, Polska może budować nową generację specjalistów w dziedzinach takich jak inżynieria kosmiczna, fizyka, biotechnologia czy robotyka".

Popisowe uśmiechy

Na fotach i filmach nasi topmałżonkowie zdają się ścigać na szerokość uśmiechów, „flagując" łapkami, jak przystało na celebrytów. Załoganci amerykańskich statków Apollo, z tym najsłynniejszym z numerem 11, mogliby uczyć się od Uznańskich-Wiśniewskich stylu skutecznej autopromocji. A kto pamięta, kim były i czym zajmowały się żony pionierskich astronautów? W co były odziane na moment startu i lądowania mężów? Otóż – nikt, może poza najbliższą rodziną. Za to małżonka naszego drugiego astronauty perfekcyjnie dyskontuje sławę Sławosza.

Jestem przekonana, że emocje związane z tym kosmicznym lotem będą grzane jeszcze długo. Nie tylko za sprawą dokonań Sławosza. Aleksandra Uznańska-Wiśniewska postarała się, żeby zaistnieć na ogólnoeuropejskiej orbicie, a nawet czasem wyprzedzić męża. Uwagę zwracała jej egzotyczna uroda, odziedziczona po matce pół-Tajce, pół-Chince. We wszystkich mediach, nie tylko pudelkowych, omawiano jej kreacje na odlot i przylot męża. Nade wszystko nie omieszkano wzmiankować o jej działalności „w sektorze pomocy humanistycznej" oraz karierze politycznej, która w ostatnich latach szybuje jak rakieta – a wystartowała w wyborach parlamentarnych w 2023 z listy KO w okręgu łódzkim, zdobywając drugi najlepszy wynik. Po wyborach wstąpiła do PO i objęła stanowisko sekretarza Sejmu. Z pewnością podniebny sukces małżonka stanie się akceleratorem na tej politycznej drodze. Oczywiście, uprzejmie przemilczano niejasne biznesy ojca pani Aleksandry, Radosława Wiśniewskiego, twórcy odzieżowego imperium (w tym marki Top Secret). Ten „milioner i filantrop" w 2004 roku został oskarżony o wręczanie „korzyści majątkowych" (do czego się przyznał) Straży Celnej w zamian za pomoc w – krótko mówiąc – przemycie towaru.

ALEKSANDRA UZNAŃSKA-WIŚNIEWSKA POSTARAŁA SIĘ, ŻEBY ZAISTNIEĆ NA OGÓLNOEUROPEJSKIEJ ORBICIE, A NAWET CZASEM WYPRZEDZIĆ MĘŻA.

EFEKTEM LOTÓW KOSMICZNYCH GAGARINA (1961) I TIERIESZKOWEJ (1963) ORAZ GWIEZDNEGO WYŚCIGU MIĘDZY ZSRR A USA OKAZAŁ SIĘ PRZEWRÓT W MODZIE.

Kosmiczne odbicia

Nie wiem, czy to świadome – ale stylizacje pani Sławoszowej przywołują lata 60. Jeden zdecydowany kolor, prosty krój, długość mini, prawie zero biżuterii. Niewykluczone, że madame Uznańska-Wiśniewska okaże się muzą dla projektantów. Bo efektem lotów kosmicznych Gagarina (1961) i Tierieszkowej (1963) oraz gwiezdnego wyścigu między ZSRR a USA okazał się przewrót w modzie. Pulchne, piersiaste panny lat 50. – jak choćby supergwiazdy Marilyn Monroe, Liz Taylor, Ava Gardner – w następnej dekadzie gwałtownie wyszczuplały. Straciły kobiecość, zyskały dziewczęcość. A nawet – dziewiczość. W kosmosie (jak to sobie wyobrażano) będzie obowiązywał sportowo-dynamiczny, androgyniczny wygląd. Focus na oczy, przepastne jak galaktyka, okrągłe jak latające talerze, powiększone sztucznymi rzęsami.

Uosobienie piękna: Jean Shrimpton, a nade wszystko Twiggy, gałązka-nastolatka, której nie sposób sobie wyobrazić przy garach, z odkurzaczem czy z żelazkiem. Ale po co! Futurologiczna moda kojarzyła się z boomem tworzyw sztucznych, którymi usiłowano zastąpić włókna naturalne, przekonując o ich praktycznych zaletach. Non-iron, ortalion, poliester, plastic fantastic – to surowce, którymi usiłowano okryć człowieka i wypełnić jego otoczenie. W popularnej, tandetnej wersji nie dało to najlepszych efektów. Jednak dziś uszlachetnione tworzywa syntetyczne, wykreowane właśnie na potrzeby wyposażenia statków kosmicznych czy skafandrów kosmonautów podbijają świat.

Pionierzy futuro mody

Marzenia o cybercywilizacji napędzały wyobraźnię modowej awangardy zimnowojennych lat: André Courrèges'a, Pierre'a Cardina, Paco Rabanne'a. Co do tego ostatniego – jego sukienki zespawane z aluminiowych płytek wydawały się szczytem kosmicznego odlotu (zakuta przez niego w gwiezdny gorset Jane Fonda w filmie „Barbarella" stała się wcieleniem superlaski przyszłości). Do designerskiego toptowarzystwa wypada jeszcze dodać Mary Quant, wynalazczynię mini, stylistycznie zapatrzoną na projekty Courrèges'a – z tym, że jej bardziej chodziło o wygodę niż futurystykę. I Yves'a Saint Laurenta, lansującego beatnik-look: krótkie skórzane kurtki, wysokie buty, spodnie, a nawet bermudy dla pań. Żeby dodać kobietom pewności siebie, wyrównać ich szanse z mężczyznami, otworzyć je na „męskie" zawody.

Popatrzmy na damski ideał drugiej połowy lat 60. Głowa: gęsta chłopięca grzywka, z tyłu fryzura krótko podcięta, czyli bob (znów u szczytu mody). Nogi: w rajstopach (wynalazek 1960 roku!) lub obcisłych elastycznych spodniach; stopy w botkach na płaskim obcasie albo w wygodnych pantoflach o kwadratowych noskach. Sylwetka narysowana liniami prostymi. Sukienki i spódniczki o kształcie trapezu lub jak kto woli litery A. Bioder i biustu brak. Geometria w kroju, ozdobach, deseniach. Kolory gładkie, nasycone, zestawiane kontrastowo.

Ale uwaga! Czołowi projektanci lat 60. nie wzięli się z kosmosu. Mieli antenatów w osobach radzieckich konstruktywistów i kobiet-projektantek, które na ogół działały krótko i szybko zostały zapomniane. Cóż, Kraj Rad nie był rad kobietom odrzucającym ubraniowe (i nie tylko) konwenanse. Od kilkunastu lat odgrzebuje się ich dokonania – więc przypomnę te najwybitniejsze: Sonia Terk-Delaunay, Warwara Stiepanowa, Aleksandra Ekster. Warto popatrzeć na ich projekty ubrań o zgeometryzowanych kształtach. A zwłaszcza proszę zwrócić uwagę na kombinezony: modele uniseks. Tak naprawdę to one stworzyły modę XXI wieku.

Skuter zamiast rakiety

W PRL-u i innych krajach socbloku cała ta modowo-rakietowa awangarda plasowała się dalej niż w kosmosie – w sferze marzeń. Po odwilży dostęp do modowych nowalijek miała nieliczna grupa „światowców", artyści, filmowcy, fotografowie. Bo choć zarabiali niewiele, mieli kontakt z Zachodem i podróżowali, czasem nawet samolotem. Tęsknota za mobilnością przekładała się na modę czasem w zdumiewającej formie. Modelki fotografowano wsparte na karoseriach limuzyn lub – co było bardziej młodzieńcze – na skuterach. Vespa to pojazd tamtych czasów – od realizacji „Rzymskich wakacji" (1953). Motorowa moda z pewnym poślizgiem dotarła też do Polski. Niedawno zmarły fotograf Tadeusz Rolke, w latach 60. współpracownik magazynu „Ty i Ja", przedsięwziął onegdaj modową sesję z vespą jako główną atrakcją. Jednoślad cenniejszy był niż modelki – wypożyczany na godziny, uchodził za gadżet nadający ujęciom „odlotowy" sznyt. Wracając do bieżących wydarzeń – Aleksandra Uznańska-Wiśniewska pojawiła się „na odlocie" (męża) w białej mini ze śnieżną chustą-pelerynką, powiewającą na wietrze jak anielskie skrzydło. Na pewno wysoko zaleci.

MISJA PIERWSZEGO POLSKIEGO ASTRONAUTY MIAŁA PRZESTEROWAĆ UWAGĘ NARODU Z PRZYZIEMNYCH BYTOWYCH PROBLEMÓW NA BARDZIEJ WZNIOSŁE.

W PRL-u I INNYCH KRAJACH SOCBLOKU CAŁA TA MODOWO-RAKIETOWA AWANGARDA PLASOWAŁA SIĘ DALEJ NIŻ W KOSMOSIE – W SFERZE MARZEŃ.

eprasa.pl 8a00c38e4c

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Jesteś Polakiem? A to szkoda...

Jan Wróbel

Niemal sześć lat temu wielka defilada Wojska Polskiego w Katowicach została zrugana przez niemałą część antypisu. Można zrozumieć, czym dla starganych nerwów obrońców demokracji był widok około 200 tysięcy rozradowanych Polek i Polaków, wśród których robił sobie zdjęcia premier Mateusz Morawiecki. Rozanielony.

Trochę z boku tamtego łajania wyskoczył spór o... powstania śląskie. Zaczepiony przez Piotra Semkę Szczepan Twardoch pisał, że „wy" (chodziło o prawicowych polityków i publicystów) „powstań śląskich nie rozumiecie", w sumie uważał święto Wojska Polskiego w Katowicach za zniewagę dla Ślązaków... Dołożył i Bartosz Wieliński: „Z czego Ślązacy mają być dumni? Że dali się podpuścić niemieckim oraz polskim nacjonalistom i ruszyli do bratobójczej walki?". I tak dalej...

W tamtej dyskusji, podobnie jak w tej wokół dziadków Donalda Tuska, a ostatnio wokół wystawy gdańskiej, powtarza się pewien wyższościowy ton wobec prawicowców: „Nie rozumiecie". To znaczy, coś tam sobie możecie cząstkowo pojmować – Polskę. Ogólnego obrazu ni hu, hu. Wszędzie widzicie tylko Polaka albo zdrajcę, Polaka albo Niemca, Polaka albo komunistę.

Owszem, taka postawa bajkowego patriotyzmu upraszczająca złożone dzieje jednostek i narodów istnieje. Ożywia się – co nawet logiczne – podczas szczególnie efektownych szarż obozu postępowego. I ma prawo budzić śmieszek, kiedy na jakąkolwiek komplikację obrazu „bohaterski Polak vs najeźdźcy" obrońca prostoty w opisie polskich dziejów reaguje tupaniem nogami. I co z tego? Z faktu, że istnieją ludzie kochający naród polski i szczerze wierzący w nieprawdziwy, uproszczony obraz dziejów, wynika tyle, że istnieją tacy ludzie. Nie wynika, że z zasady, jak ktoś intensywnie przeżywa polskie emocje, to nie potrafi widzieć złożoności historycznych spraw. Tak rzeczywistość chcieliby sobie ustawić krytycy „polskiego nacjonalizmu", by ułatwić sobie życie i tłuc swoje opowieści w wiecznej kontrze wobec „polskiej głupoty".

Zarówno w Gdańsku, jak w Katowicach i w Olsztynie znajdziemy takich miłośników historii regionalnej, którzy w pewnym momencie wyruszają w podróż księżycową. Zmęczeni polskością, zirytowani na los, który przeznaczył im wspólnotę z Europą Wschodnią, tą gorszą, z żytem i łapciami, projektują sobie krainy wyśnione: Pomorze, Warmię, Śląsk... takie inne, niż z podręcznika, fajniejsze. Duchowo bogatsze, bo złożone z wielu warstw. Polak w takich wizjach to prosty mebel o ciężkich gabarytach. Natomiast twórcy narracji o Pomeraniach i Silesiach to salon mebli kunsztownych. Przynajmniej we własnym przekonaniu, którego nie zamierzają porzucić, bo daje im ono tyle samo satysfakcji, ile uczestnikowi demonstracji z plakatem „Ruda wrona orła nie pokona". Wyższość moralna, pewność poglądów, obrona szlachetnych wartości przed zniewagą.

ZIRYTOWANI NA LOS, KTÓRY PRZEZNACZYŁ IM WSPÓLNOTĘ Z EUROPĄ WSCHODNIĄ, TĄ GORSZĄ, Z ŻYTEM I ŁAPCIAMI, PROJEKTUJĄ SOBIE KRAINY WYŚNIONE: POMORZE, WARMIĘ, ŚLĄSK...

eprasa.pl 8a00c38e4c

„Kino grozy jako zwierciadło społeczne”

– W Polsce kino gatunkowe wciąż często traktuje się jak coś podejrzanego albo – co gorsza – jak niebezpieczny eksperyment. Bo nasz kraj przecież stoi „poważnym kinem”, a dla mas mamy komedie romantyczne i kryminalne seriale. A na horrory też jest miejsce i mają one grono odbiorców. Kino gatunkowe to język. I jeśli się nim dobrze posługujesz, możesz opowiedzieć naprawdę dużo – mówi reżyser **Bartosz M. Kowalski** w rozmowie z **Markiem Nowakiem**.

– Na pewno jest to jedno z tych pytań, na które musisz często odpowiadać, ale skąd pomysł, by w Polsce – gdzie w krajowej kinematografii nie tylko nie ma tradycji kina grozy, ale nawet kina gatunkowego – kręcić horrory?

– To rzeczywiście pytanie, które wraca jak bumerang i wcale nie dziwi. Bo w Polsce nie mamy tradycji kina grozy. Zacząłem robić horrory, bo sam się na nich wychowałem. To zawsze był mój świat – od kaset VHS z wypożyczalni, przez kinowe maratony. Wes Craven, John Carpenter czy Sam Raimi, to moi mistrzowie. I choć kocham różne gatunki filmowe, kocham kino, to od zawsze marzyłem o robieniu horrorów.

– Czy trudno się robi kino gatunkowe w Polsce? Znalezienie producentów, którzy zainwestują swoje pieniądze w coś, co wielu postrzega jako „eksperyment artystyczny”, z pewnością nie jest łatwe.

– Tak, to jest trudne. Bo w Polsce kino gatunkowe wciąż często traktuje się jak coś podejrzanego albo – co gorsza – jak niebezpieczny eksperyment. Bo nasz kraj przecież stoi „poważnym kinem”, a dla mas mamy komedie romantyczne i kryminalne seriale. A na horrory też jest miejsce i mają one grono odbiorców. Kino gatunkowe to język. I jeśli się nim dobrze posługujesz, możesz opowiedzieć naprawdę dużo. Większość projektów powstaje w określonych ramach – często z góry wiadomo, na co jest zapotrzebowanie, jaki musi być target, jaka konwencja, jaki budżet. Trzeba się w tym odnaleźć i w ramach dostępnej przestrzeni próbować

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 8a00c38e4c

przemycić coś świeżego, coś swojego. W przypadku „13 dni do wakacji" punktem wyjścia był archetypiczny „home invasion", coś, co ma być angażującą rozrywką. Ale udało się to zderzyć z bardziej niepokojącymi tonami – z historią o przemocy, która nie bierze się znikąd, z pytaniami, które zostają długo po seansie. Udało się w nim zaszczepić coś więcej – trochę mroku, trochę prawdy o nas, w ramach dobrze znanej formuły.

– Jakie trudności i wyzwania stają przed twórcami, którzy w naszym kraju próbują przecierać mało znane szlaki kina gatunkowego?

– Największym wyzwaniem chyba jest to, że kino gatunkowe w Polsce trzeba wciąż tłumaczyć – dosłownie. Zanim zacznie się rozmawiać o emocjach, pomyśle czy przekazie, trzeba wyjaśnić, czym w ogóle jest konwencja. Że horror to nie tylko straszenie duchami, że slasher może być pastiszem, że przerysowanie czy stylizacja nie oznaczają braku treści.
W dyptyku „W lesie dziś nie zaśnie nikt" poszedłem w stronę autoironii, przymrużenia oka czy wręcz parodii – i dla części widzów czy krytyków to było coś świeżego, ale dla części niezrozumiałe. Bo u nas brakuje jeszcze kontekstu kulturowego, na którym takie zabawy się opierają. Nie ma tradycji gatunku, więc widz – i czasem krytyk – nie zawsze wie, że to cytat, dekonstrukcja, świadome przegięcie. To wszystko sprawia, że przecieranie tych szlaków jest trochę jak walka z wiatrakami. Ale jednocześnie daje satysfakcję – bo, gdy nie ma kanonu, można ryzykować, eksperymentować, budować coś od zera. Jasne, często dostaje się po dupie, bo idzie się pod prąd, ale może właśnie dlatego warto.

– Horror, w mojej ocenie jeden z najciekawszych gatunków filmowych, odwołujący się do ludzkich lęków, zarówno tych związanych z konstrukcją ludzkiej psychiki, jak i wszelkich lęków społecznych, to filmowy gatunek bardzo trudny do zrobienia. Wszystko tu jest ważne – odpowiednia gra światłem i cieniem, mroczna scenografia czy praktyczne i komputerowe efekty specjalne. Jednak polskie budżety filmowe są ciągle dużo skromniejsze od tych, do których widzów przyzwyczaiło kino amerykańskie. Jak sobie radzisz w tej nierównej walce z filmową materią?

– Miło, że to zauważasz, bo wbrew pozorom – i wbrew powszechnym opiniom – horror wcale nie jest najtańszym i najłatwiejszym gatunkiem. A wiele osób z jakiegoś powodu wciąż tak myśli. Tymczasem to właśnie w horrorze wszystko musi działać – światło, cień, rytm montażu, efekty praktyczne, dźwięk, scenografia... bo kiedy coś się nie zgadza, widz wyczuwa to natychmiast. Ja miałem to szczęście, że trafiłem na ludzi, z którymi mogłem w pewnym sensie uczyć się tego wszystkiego od zera. Ekipa od efektów praktycznych, charakteryzatorzy, scenografowie – razem przecieraliśmy szlak, bo nikt wcześniej w Polsce nie robił horroru z prawdziwego zdarzenia. Nie było gotowych wzorców, więc wszystko trzeba było wymyślić samemu. Jasne, bywało frustrująco – zwłaszcza gdy ma się w głowie amerykańskie wzorce. Ale te ograniczenia często mobilizowały. Sprawiały, że trzeba było być sprytniejszym, bardziej kreatywnym. Horror to precyzyjna maszyna – każda zębatka musi działać, bez względu na budżet. A jak już zadziała, to daje niesamowitą satysfakcję.

KAŻDY FILM TO WYNIK SPLOTU RÓŻNYCH RZECZY: IMPULSU, PRZYPADKU, ZAMÓWIENIA ZE STRONY PRODUCENTA ALBO PO PROSTU FASCYNACJI JAKIMŚ MOTYWEM.

– „W lesie dziś nie zaśnie nikt" był klasycznym slasherem, druga część – autoparodystycznym meta slasherem w stylu Sama Ramiego, „Ostatnia wieczerza" to satanistyczny horror z wątkami religijnymi, „Cisza nocna" to zaś psychologiczny posthorror nawiązujący m.in. do kina Romana Polańskiego. Natomiast Twój najnowszy film „13 dni do wakacji" w zwiastunach prezentuje się jako klasyczny home invasion. Czybyś planował w pojedynkę przenieść na polskie realia każdy istniejący podgatunek horroru?

– Chciałbym! Ale tej ścieżki naprawdę nie da się zaplanować. To nie jest tak, że siedzę z listą podgatunków i odhaczam: „slasher – jest, satanistyczny – jest, home invasion – jest, a teraz czas na found footage". Każdy film to wynik splotu różnych rzeczy: impulsu, przypadku, zamówienia ze strony producenta albo po prostu fascynacji jakimś motywem. To trochę jak efekt domina – jeden projekt uruchamia kolejny, czasem coś się nie udaje, coś innego wskakuje w to miejsce i prowadzi w zupełnie nowym kierunku. „13 dni do wakacji" rzeczywiście

na pierwszy rzut oka wygląda jak klasyczny home invasion – nowoczesny dom, grupa nastolatków, zabójca w masce. Ale mnie najbardziej interesowało zderzenie tej konwencji z ludzkim kontekstem. Chciałem, żeby ten film mówił coś więcej, niż tylko „kto przeżyje noc" – żeby w tej beztrosce i popkulturowym sztafażu czaił się jakiś cień. Żeby za tą rozrywką kryło się coś niewygodnego. Ale nawet jeśli to nieplanowane, to z tyłu głowy rzeczywiście chyba mam potrzebę, by próbować tłumaczyć różne formy gatunkowe na nasz lokalny język – i sprawdzać, czy one tu w ogóle działają. Bo jeśli działają, to znaczy, że warto je eksplorować dalej. A jeszcze à propos tego, że naprawdę nie da się niczego przewidzieć: aktualnie — trochę przez przypadek, a trochę przez potrzebę oddechu — piszę pełnometrażową animację dla dzieci.

– Choć dziś jesteś znany jako twórca horrorów, to wywodzisz się z kina zaangażowanego. Twoim pierwszym filmem był dramat „Plac zabaw". Ten społeczny rys powraca w różnym natężeniu w Twoich horrorach. Społeczna alienacja, brak poczucia sprawiedliwości, trudność wyjścia z własnej strefy komfortu, liche więzi rodzinne i społeczne – ten dość surowy obraz powraca w wielu Twoich filmach.

– Tak, to prawda. Niezależnie od gatunku zawsze interesował mnie człowiek w sytuacji granicznej. Przemoc nie bierze się znikąd. To, co nas przeraża – czy to w horrorze, czy w życiu – często jest tylko wypadkową wielu niewidocznych wcześniej pęknięć: rodzinnych, społecznych, emocjonalnych. „Plac zabaw" był skrajnie realistyczny, niemal dokumentalny, ale jego rdzeń – pytanie o źródła agresji, o pustkę emocjonalną – jest w jakimś sensie obecny w większości moich filmów. Nawet jeśli są bardziej stylizowane, bardziej rozrywkowe, to zawsze staram się, żeby pod spodem powiedzieć coś więcej. W „13 dniach do wakacji" ten społeczny rys też się pojawia. Mamy grupę dzieciaków pozornie uprzywilejowanych, zamkniętych w luksusowym domu – a jednak w tej ich relacji jest samotność, chłód, ukryty gniew. I to właśnie staje się paliwem dla całej historii. Dla mnie to nie opowieść o zamaskowanym zabójcy, ale o tym, co się dzieje, gdy zaniedbane emocje i konflikty zaczynają wracać pod postacią przemocy. To temat, do którego wrócę niebawem także w bardziej realistycznej formie – pracuję też nad dramatem społecznym, który będzie rozwijał te wątki bez gatunkowej oprawy.

JEŚLI MAM OKAZJĘ POŁĄCZYĆ ROZRYWKĘ Z CZYMŚ, CO MNIE NAPRAWDĘ OBCHODZI, CO MNIE RUSZA, TO ZAWSZE BĘDĘ Z TEJ OKAZJI KORZYSTAŁ. BO WTEDY TEN FILM ŻYJE DŁUŻEJ.

– Na ile te elementy kina społecznie zaangażowanego są dla Ciebie ważne w Twojej twórczości?

– Nie każda historia się do tego nadaje, czasem ważniejsza jest zabawa konwencją – i to też jest OK. Ale jeśli mam okazję połączyć rozrywkę z czymś, co mnie naprawdę obchodzi, co mnie rusza, to zawsze będę z tej okazji korzystał. Bo wtedy ten film żyje dłużej. I może nawet zostawia jakiś ślad. Zresztą mam poczucie, że właśnie dzięki temu kino gatunkowe ma taką siłę. Pozwala mówić o sprawach trudnych w sposób atrakcyjny, emocjonalny, często bardziej przystępny niż kino stricte społeczne. To jest trochę jak koń trojański — horror jako nośnik niepokoju, który nie musi być tylko tym związanym z potworem czy mordercą, ale też z rozpadem więzi, zaniedbaniami, samotnością, brakiem komunikacji. Te elementy zaangażowania społecznego są bardzo widoczne – jak w „Placu zabaw" – a czasem ciut bardziej ukryte pod warstwą krwi i napięcia – jak w „13 dniach do wakacji". Ale w obu jest komentarz do świata, w którym żyjemy.

– Masz może jakieś rady dla młodych twórców, którzy chcieliby podążyć Twoją drogą i robić w Polsce kino gatunkowe?

– Nie polecam. Naprawdę [śmiech]! I nie mówię tego złośliwie – po prostu kino gatunkowe w Polsce to wciąż droga pod prąd. Trzeba się liczyć z tym, że część środowiska będzie patrzeć na ciebie jak na kogoś, kto się wygłupia, że widz nie zawsze od razu „zaskoczy", a krytyk może się obrazić. Do tego szybko lądujesz w szufladce „wariata", i nagle się okazuje, że nie masz pracy, a wszyscy znajomi kręcą jeden serial za drugim. Ale jeśli ktoś naprawdę czuje, że chce opowiadać w ten sposób, to pewnie warto próbować. Trzeba się przygotować na to, że będzie pod górkę, że trzeba będzie tłumaczyć, przekonywać, udowadniać, że horror to nie gorszy kuzyn „prawdziwego kina". To maraton. Ja po tych kilku filmach wciąż czuję, że jestem na początku drogi. Ale gdy się już coś udaje, to każdy krok do przodu daje ogromną satysfakcję. Bo może ktoś pójdzie za tobą. A potem ktoś za nim. I może za jakiś czas nie będziemy już mówić o kinie gatunkowym jako czymś egzotycznym w Polsce, tylko jako o czymś zupełnie naturalnym.

Bartosz M. Kowalski – polski reżyser i scenarzysta filmowy specjalizujący się w kinie grozy. Absolwent szkół filmowych w Paryżu i Los Angeles. Autor takich filmów jak: „Plac zabaw" (2016), „W lesie dziś nie zaśnie nikt" (2020), „W lesie dziś nie zaśnie nikt 2" (2021), „Ostatnia wieczerza" (2022) czy „Cisza nocna" (2024).

eprasa.pl 8a00c38e4c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Wysocka-Schnepf i Bilewicz w antypolskim rydwanie

Koalicja 13 grudnia nie po raz pierwszy widzi w Polsce faszyzm podobny do tego z II Rzeczpospolitej lat 30. „Wtedy ta brunatna fala zalała nas z zewnątrz, a dzisiaj to bulgocze trochę tutaj u nas, w środku. Znaczy nie trochę, tylko, no, niestety, bardzo mocno bulgocze" – oświadczyła na antenie TVP w likwidacji Dorota Wysocka-Schnepf. To wypowiedź ideologiczna, propagandowa, bo pani historykiem nie jest.

Wysockiej wtórował dr Michał Bilewicz, twierdząc, że przedwojenna Polska degenerowała się i „takie obozy jak w Brześciu czy potem w Berezie Kartuskiej" mogły stać się „pewną normą", „masowym zjawiskiem". Problem w tym, że dr Bilewicz też nie jest historykiem, tylko – jak czytam – psychologiem społecznym. Pracownica TVP w likwidacji nie dawała za wygraną: „Przemoc przyszła z zewnątrz i nie chcę powiedzieć, że uratowała nas przed nami samymi, bo byłoby to bardzo obrazoburcze, ale może uniknęliśmy tych pokus". Czyli Polska uniknęła „pokus" dzięki Hitlerowi i Stalinowi, którzy dokonali IV rozbioru naszej Ojczyzny. A dla mnie problemem jest nie tyle to, co pani Wysocka-Schnepf bajdurzy o polskiej historii, ile to, że (razem ze swoim mężem Ryszardem) publicznie broni komunistycznych zbrodniarzy: swoich teściów Maksymiliana i Alicji Schnepfów (zmarłej niedawno i pochowanej obok męża na stołecznych Powązkach Wojskowych). A biogramu Maksymiliana zabrakło ostatnio na wystawie o komunistycznej Obławie Augustowskiej. Zabrakło, bo organizatorem był tuskowy Instytut Pileckiego (rotmistrz w zaświatach musi to ciężko znosić).

Ale właściwie ta pseudohistoryczna tragifarsa nie powinna nas dziwić. Komuniści zamiast o swoich zbrodniach, likwidacji polskich patriotów w obławach i komunistycznych więzieniach, wolą robić z Berezy Kartuskiej ciężki obóz koncentracyjny. Tymczasem było to – niemiłe oczywiście – ale miejsce odosobnienia przede wszystkim dla wrogich Polsce komunistów i ukraińskich nacjonalistów.

Duet Wysocka-Schnepf i Michał Bilewicz wpisali się w kłamstwa docierające do nas z Niemiec i Rosji. Słyszymy bowiem coraz częściej, że Rzeczpospolita nie była ofiarą, ale inspiratorem II wojny światowej. Wpływowi politycy i publicyści obu tych krajów nie tylko usprawiedliwiają, ale także chwalą pakt Ribbentrop – Mołotow, który dla nas oznaczał IV rozbiór Polski.

Co mówi obecna Rosja? Że pakt Ribbentrop – Mołotow był jednym z wielu podpisanych wówczas paktów i wcale nie miał charakteru agresywnego. Kilka lat temu Ministerstwo Obrony Rosji opublikowało dokumenty z 1939 r., w tym kopie odtajnionych protokołów paktu szefów MSZ Niemiec i Rosji, działających w imieniu swoich szefów – Hitlera i Stalina. W komentarzu nakłamano, że to Polska „wspierała faszystowski blok" Niemiec i Włoch na równi z Japonią.

A co mówią dzisiejsze Niemcy? Po pierwsze, nie chcą wypłacać nam żadnych odszkodowań: komunistyczna PRL miała skutecznie zrezygnować z wojennych reparacji wobec komunistycznej DDR; choć w innych przypadkach współczesne Niemcy DDR nie uznają. Po drugie, też sugerują, że Polska II wojnę światową wywołała, prowokując innych – szczególnie Niemcy.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Typowym początkiem drogi przyszłego miłośnika komiksów bywa poszukiwanie mniej czasochłonnej alternatywy dla książki albo nostalgia za historiami z obrazkami, które czytało się w dzieciństwie. Jeśli w tych poszukiwaniach trafi na coś naprawdę dobrego – **pójdzie dalej**, nie bacząc na (niemałe) koszty finansowe.

Jak zostać komiksiarzem?

Ludwik Pęzioł

Im mniej o czymś wiemy, tym bardziej wydaje nam się to jednorodne. Filmy i muzyka towarzyszą nam od zawsze, więc nawet laik potrafi odróżnić dramat od komedii czy rock od jazzu. Pytamy raczej, czego ktoś słucha lub co ogląda, a nie czy w ogóle to robi. Tymczasem komiks to dla wielu po prostu „komiks" – gdy ktoś natrafi na coś, co mu się nie spodoba, łatwo uzna, że to medium nie jest dla niego. A przecież świat komiksu – choć bardziej niszowy – jest równie różnorodny. Znajdą się tu historie dla dzieci, dla seniorów, dla fanów bezmózgiej rozrywki i dla zblazowanych intelektualistów. Dużo jednak zależy od pierwszego kontaktu. A ten bywa rozczarowujący, bo to, co w komiksie najlepsze, rzadko trafia na półki najbliższego Empiku.

Dla tych, którzy chcieliby się przekonać, że komiks to pełnoprawna sztuka – rozwijająca estetykę, wrażliwość i intelekt – proponujemy dziś tytuły „pierwszego wyboru" w poszczególnych gatunkach, które przyciągają fanów innych „nośników fabuł". Nawet jeśli ktoś nie pokocha danego komiksu, będzie musiał docenić jego treść – i może spróbuje kolejnego.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Fot. Adobe Stock

Biografia: „Ballada dla Sophie" (Filipe Melo, Juan Cavia)

Choć główny bohater komiksu – Julien Dubois – nigdy nie istniał, „Ballada dla Sophie" stylizowana jest na w pełni wiarygodną biografię wybitnego kompozytora. Dubois przez całe życie rywalizuje ze swoim genialnym konkurentem, targany zazdrością, podziwem i obsesją zostania „tym lepszym". Ulega jednak pokusie komercjalizacji swojej twórczości, co prowadzi do wypalenia i desperackiej próby wyrwania się z pułapki celebrytctwa, by powrócić do artystycznych korzeni. To jednak niełatwe – uwikłanie rodzinno-biznesowe sprawia, że czeka go trudna walka. Opowieść snuje zgryźliwy, zrezygnowany starzec, który stopniowo odkrywa przed nami historię swojego życia. Jego wspomnienia prowadzą go – i nas – przez pełną napięcia wewnętrzną przemianę, aż ku oczyszczeniu i wolności. To ciepła opowieść o ambicji, iluzji sukcesu i dążeniu do życiowej syntezy. Budzi poczucie sensu i daje wiarę, że z chaosu można wyłonić porządek.

„CROMWELL STONE" „JEDZIE" NA STERYDACH: ŹRÓDŁEM NIEPOKOJU NIE JEST BOWIEM POTWÓR CZY NIEUMARŁY, LECZ SAMA STRUKTURA ISTNIENIA, KOSMOLOGIA I LUDZKA BEZRADNOŚĆ WOBEC „NIEPOJĘTEGO".

Fantastyka: „Slaine: Rogaty Bóg" (Pat Mills, Simon Bisley)

Slaine to bohater „przegięty" – i to w najlepszym znaczeniu tego słowa. Cała saga jest epicka aż do granic karykatury. Przy nim Conan Barbarzyńca wydaje się nieśmiałym szarakiem. Slaine obcuje erotycznie z celtyckimi boginiami, wykrada święte artefakty i w berserkerskim szale niszczy całe armie, zamieniając się w jeden zakrzywiający rzeczywistość mięsień. Oczywiście, przesada nie jest w komiksie niczym nowym. Ale tu mamy do czynienia z przerysowaniem integralnym – od heroicznego języka narracji, przez mityczną atmosferę, aż po brutalną poetykę obrazów. Jedyny kontrapunkt to gluty cieknące z nosa kronikarza Ukko – i dobrze, że są. Rzecz dla czytelników z dystansem: cała masa śmiechu z celowo przesadzonej epickości, ale też pełnokrwiści złoczyńcy i niepowtarzalne celtyckie piękności. Komiks absurdalny, brutalny i zabawny – w najlepszym, metalowo-barbarzyńskim stylu.

SLAINE OBCUJE EROTYCZNIE Z CELTYCKIMI BOGINIAMI, WYKRADA ŚWIĘTE ARTEFAKTY I W BERSERKERSKIM SZALE NISZCZY CAŁE ARMIE.

Historyczny: „Cyd" (Antonio Hernandez Palacios)

Wybitny hiszpański komiks z czasów frankizmu, opowiadający historię El Cida – bohatera równie realnego, co owianego legendą. Tym, co najbardziej urzeka, są niezwykle malarskie ilustracje: surowość średniowiecznego świata miesza się tu z bogactwem przyrody, różnorodnością etnosów i szczegółowym odwzorowaniem strojów, architektury i scen bitewnych. W tle snują się subtelne echa nadprzyrodzonych mocy – nie wiadomo jednak, czy to realne siły, czy tylko projekcje wyobraźni bohaterów. „Cyd" zachwyca dramaturgią, wyrazistymi postaciami i umiejętnością odtworzenia przeszłości bez popadania w banalne „epokowe"

eprasa.pl 8a00c38e4c

klisze. To dzieło, które wciąga zarówno treścią, jak i estetyką.

Horror: „Cromwell Stone” (Andreas Martens)

To groza z wyższej półki – bliżej jej do Lovecrafta i Poego niż do klasycznych horrorów grających na prostych lękach. Z tą różnicą, że „Cromwell Stone” „jedzie” na sterydach: źródłem niepokoju nie jest bowiem potwór czy nieumarły, lecz sama struktura istnienia, kosmologia i ludzka bezradność wobec „niepojętego”. To czysty „horror ontologiczny”. Komiks odsłania przed nami nieprawdopodobną – i właśnie przez to tak hipnotyzującą – historię. Zachwyca nie tylko treścią, lecz przede wszystkim formą: rysunki Andreasa to majstersztyk: zdradzający dogłębną znajomość XIX- i XX-wiecznego malarstwa. Niektóre plansze – jak choćby scena sztormu morskiego – z powodzeniem mogłyby zawisnąć w najlepszych muzeach Zachodu. Czym „Zew Cthulhu” jest dla literatury grozy, tym „Cromwell Stone” jest dla komiksu.

Kryminał: „Morderca znad Green River” (Jeff Jensen, Jonathan Case)

Ten true crime powstał z osobistego doświadczenia – autor jest synem policjanta, który przez dwie dekady ścigał jednego z najbardziej przerażających seryjnych morderców w historii USA. Styl graficzny nawiązuje do starych amerykańskich komiksów gazetowych, ale treść daleka jest od stylizacji – to rzecz szczera, surowa i przekonująca. Nie znajdziemy tu romantyzowania pracy detektywa ani estetyzowania zbrodni. Jensen z dużą empatią pokazuje psychologiczne koszty śledztwa, zwłaszcza dla swojego ojca, którego portret psychologiczny jest jednym z największych atutów komiksu. Towarzyszymy mu w frustracji, bezsilności, znużeniu – i w nadziei, że choćby część tajemnic zostanie wyjaśniona. Nie wszystkie odpowiedzi zostają jednak udzielone, ale to właśnie nadaje całości siłę i prawdziwość. Kryminał, który traktuje czytelnika serio, a nie jako kukłę do zaskakiwania kolejnymi zwrotami fabularnymi – i przez to jest tak wartościowy.

TRUDNO CZYTAĆ „DOM”, NIE MYŚLĄC O WŁASNYM DZIECIŃSTWIE, O SWOICH BLISKICH, O MIEJSCACH, KTÓRE BYŁY KIEDYŚ CAŁYM ŚWIATEM.

Obyczajowy: „Dom” (Paco Roca)

Poruszające studium relacji rodzinnych, których prawdę – często trudną i niewygodną – wydobywa na powierzchnię dom letniskowy odziedziczony po zmarłym ojcu. Troje rodzeństwa spotyka się, by przygotować go do sprzedaży. Wspólna praca staje się katalizatorem wspomnień, ocen życia ojca, rodzinnych napięć i odkrywania, jak bardzo ich ścieżki się rozeszły. Trudno czytać „Dom”, nie myśląc o własnym dzieciństwie, o swoich bliskich, o miejscach, które były kiedyś całym światem. Roca z czułością, ale i bez taniego sentymentalizmu, ukazuje, że dom to nie tylko budynek – to mapa emocji, lęków, nadziei i kruchych więzi. Po lekturze zostajemy w tym domu jeszcze długo: na poddaszu, w warsztacie, w kuchni i w ogrodzie. Gdzieś tam, w jakimś innym, nadzmysłowym wymiarze – on nadal istnieje.

Przygodowy: „Trzeci Testament. Juliusz” (Xavier Dorison, Alex Alice, Robin Recht i in.)

Od pierwszych stron ta opowieść wciąga jak wir. Juliusz – zwycięski dowódca rzymski z aspiracjami do godności Cezara – wraca z wojny, by wykorzystać chrześcijan jako pionek w swojej politycznej grze. Jednak plan szybko wymyka się spod kontroli, a bohater zostaje zmuszony do ucieczki z Rzymu, gdzie los splata jego drogę z jedną z niedoszłych ofiar intrygi. Konflikt moralności opartej na miłości bliźniego z logiką imperium i kultem siły stanowi główny rdzeń tej historii. W tle – zaskakujące przemiany postaci, które na początku wydawałyby się całkowicie nieprawdopodobne. I najważniejsze: „Juliusz” oferuje to, co w przygodzie najcenniejsze – poczucie podróży, która odrywa nas od codzienności i którą chcemy kontynuować. Na szczęście możemy to uczynić – „Juliusz” to prequel znakomicie przyjętej serii „Trzeci Testament”, równie bogatej w przygodę, intrygę i duchowy niepokój. Jeśli więc po zamknięciu tomu poczujesz niedosyt – to bardzo dobrze. Droga dopiero się zaczyna.

„MORDERCA ZNAD GREEN RIVER” TO KRYMINAŁ, KTÓRY TRAKTUJE CZYTELNIKA SERIO, A NIE JAKO KUKŁĘ DO ZASKAKIWANIA KOLEJNYMI ZWROTAMI FABULARNYMI – I PRZEZ TO TAK JEST WARTOŚCIOWY.

eprasa.pl 8a00c38e4c

Ofiara na Bursztynowy Ołtarz Ojczyzny

Szanowni Państwo,

to dzięki ofiarności i hojności darczyńców trwają dalsze bardzo już zaawansowane prace przy budowie Bursztynowego Ołtarza Ojczyzny w bazylice św. Brygidy – Bastionie Solidarności w Gdańsku. Postęp prac można już ocenić na 70 procent.

Od marca br. w nastawie ołtarza umieszczone są dwa posągi aniołów ustawione na specjalnych stelażach, które wypełnione będą kompozycjami zboża i kwiatów.

W ramach szerszego projektu „Kwiaty Polskie na Bursztynowym Ołtarzu Ojczyzny" w bazylice św. Brygidy w Gdańsku tworzone są dwie patriotyczne kompozycje odnoszące się do symboliki kwiatu lnu oraz kwiatu rumianku.

Pierwsza kompozycja to kwiat lnu jako symbol Rzezi Wołyńskiej. Druga kompozycja to kwiaty rumianku (rumianu) z dwoma czerwonymi płatkami, będące symbolem martyrologii wsi polskiej upamiętniające masakrę wsi Michniów, gdzie niemieckie siły okupacyjne 12 i 13 lipca 1943 roku dokonały pacyfikacji wsi, mordując 204 osoby, w tym 54 kobiety i 48 dzieci (najmłodsze miało 9 dni).

Zbliża się czas montażu kolejnych elementów imitacji źdźbeł zboża i kwiatów, które przed montażem elementów bursztynu należy poddać galwanicznemu złoceniu.

Jak wynika z kalkulacji, ta praca, czyli galwaniczne złocenia miedzi, to koszt około 50 tysięcy złotych. Wszystkich potencjalnych darczyńców uprasza się o wsparcie finansowe, bez którego postęp dalszych prac będzie praktycznie niemożliwy.

Fot. M. Żegliński

Zadeklarowaną kwotę jako darowiznę na złocenie rurek i elementów imitujących kwiaty wykonanych z miedzi do budowy Bursztynowego Ołtarza można przekazać poprzez:

płatność BLIK na nr 721 171 133 (Parafia św. Brygidy);
konto parafii: 37 1240 2920 1111 0010 2775 1531.

Do każdej płatności należy dodać dopisek:
„Darowizna na cel kultu religijnego – Bursztynowy Ołtarz Ojczyzny".

Bóg zapłać za Wasze finansowe wsparcie na realizację tego niepowtarzalnego solidarnościowego dzieła.

Ks kanonik Ludwik Kowalski
Proboszcz Bazyliki
Św. Brygidy w Gdańsku

Region Gdański NSZZ „Solidarność"
Krzysztof Dośla
Przewodniczący Regionu Gdańskiego
NSZZ „Solidarność"

eprasa.pl 8a00c38e4c

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

AGNIESZKA ŻUREK

Obchody 45. rocznicy Lubelskiego Lipca oraz strajku w lubelskim węźle kolejowym

Fot. arch. „S”

20 lipca br. odbyły się główne uroczystości związane z 45. rocznicą Lubelskiego Lipca zorganizowane przez Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”, a także obchody zorganizowane przez Krajową Sekcję Kolejarzy NSZZ „Solidarność”, które miały na celu uczczenie 45. rocznicy strajku w lubelskim węźle kolejowym.

W obchodach rocznicowych wzięli udział m.in. związkowcy, przedstawiciele władz, parlamentarzyści, samorządowcy. Uczestnicy uroczystości złożyli kwiaty pod pomnikiem Doli Kolejarskiej w pobliżu dawnej lokomotywowni. W swoim przemówieniu doradca prezydenta Polski Marek Rymsza zwrócił uwagę, że był to protest pokojowy, podczas którego załoga przedstawiła wspólne racje. Podkreślił również siłę strajku kolejarskiego sprzed 45 lat. – W trakcie lipca ’80 strajk kolejarzy nie był pierwszym w regionie, ale gdy stanęły pociągi, to nie dało się dłużej tych protestów ukryć. Wówczas nie było mediów społecznościowych, internetu, media były całkowicie podporządkowane, a jak zabrakło pociągów, to stało się to nie do ukrycia. Zaczęto pisać, pojawiły się materiały – to było wielkie zwycięstwo strajku kolejarskiego, że media piszą o tym, co jest ważne dla ludzi, a niekoniecznie dla władzy – powiedział Rymsza.

List do uczestników obchodów wystosował Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. „Dziś po 45 latach oddajemy hołd wszystkim ludziom kolei, którzy mieli odwagę upomnieć się o prawdę i sprawiedliwość. Ich postawa jest dla nas wzorem obywatelskiego zaangażowania. Z wdzięcznością i uznaniem dziękuję za ten niezwykły wkład w historię Polski” – przekazał przewodniczący.

Przedstawiciele NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego złożyli kwiaty pod pomnikiem Wdzięczności przy ul. Drogi Męczenników Majdanka oraz przed pomnikiem Patrona Solidarności przy ul. Królewskiej. Po Mszy o godz. 17.00 w archikatedrze lubelskiej odbyła się gala 45-lecia, podczas której wręczono odznaczenia państwowe zasłużonym dla NSZZ „Solidarność”. W liście do uczestników tego wydarzenia Piotr Duda napisał: „Robotnicy Lubelszczyzny, domagając się godnych warunków pracy i szacunku, wykazali się nie tylko odwagą, ale i niezwykłą odpowiedzialnością obywatelską. Ich protesty były pokojowe, lecz stanowcze, a ich głos nie mógł zostać zignorowany. To właśnie wtedy w Lublinie zaczęła kiełkować nadzieja na inną, lepszą Polskę”. S

SOLIDARNOŚĆ WYNEGOCJOWAŁA PODWYŻKI DLA PRACOWNIKÓW HUTY CMC POLAND W ZAWIERCIU

22 lipca br. przedstawiciele Solidarności w hucie CMC Poland podpisali porozumienie płacowe z pracodawcą. Zakłada ono podwyższenie stawek zasadniczych pracowników średnio o 540 zł brutto oraz wzrost dodatków, takich jak dodatek zmianowy i brygadowy. Podwyżki wejdą w życie 1 września.

Wzrost stawek zasadniczych obejmuje: podwyżkę gwarantowaną w wysokości 200 zł brutto, średnio 20 zł brutto na pracownika na wyrównanie stawek oraz wliczenie części premii kwartalnej do podstaw

eprasa.pl 8a00c38e4c

Fot. M. Żegliński

„Obchody Lubelskiego Lipca to nie tylko wspomnienie historii. To także przypomnienie, jak ważna jest wspólnota, solidarność i odpowiedzialność za przyszłość naszego kraju”.

Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, fragment listu do uczestników obchodów 45. rocznicy Lubelskiego Lipca

wynagrodzeń, co łącznie daje średni wzrost stawek zasadniczych o 540 zł brutto.

– Przekonaliśmy pracodawcę do wliczenia do stawek zasadniczych części premii kwartalnej, która od ponad dwóch lat nie jest wypłacana z powodu trudnej sytuacji firmy i całej branży hutniczej. W efekcie pracownicy mają zagwarantowaną część premii, której nie otrzymywali i której prawdopodobnie nie dostaliby jeszcze przez wiele miesięcy – podkreślił Henryk Zwolan, szef Solidarności w CMC Poland.

Przewodniczący zaznaczył, że zapisy porozumienia płacowego to najlepsze, co było możliwe do wynegocjowania w obecnych, bardzo trudnych warunkach, w jakich funkcjonuje zawierciańska huta oraz cały polski przemysł stalowy. – Hutnictwo w całej Europie jest w potężnym kryzysie. W naszej branży znacznie częściej słychać o zwolnieniach niż o podwyżkach wynagrodzeń. Jestem przekonany, że nasi pracownicy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Udało się uzyskać tyle, ile było możliwe. Gdybyśmy nie podpisali tego porozumienia, nie dostaliby żadnych podwyżek – wskazał.

Porozumienie przewiduje również podwyższenie dodatków brygadowego i zmianowego – odpowiednio o 50 zł i 25 zł brutto. Dodatkowo pracownikom zagwarantowano premie świąteczne z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy w wysokości 700 zł brutto każda, co daje łącznie 1400 zł. Licząc razem z dodatkami i premiami świątecznymi, pracownicy zyskali dwa razy więcej od tego, co pracodawca proponował podczas negocjacji płacowych.

ŻYCZENIA OD PIOTRA DUDY Z OKAZJI ŚWIĘTA POLICJI

Fot. Adobe Stock

„Z okazji Święta Policji chciałbym złożyć w imieniu Komisji Krajowej NSZZ «Solidarność» wszystkim funkcjonariuszom i pracownikom Policji wyrazy najwyższego uznania i podziękowania za trudną, odpowiedzialną i pełną poświęcenia służbę. Każdego dnia stajecie w obronie życia, zdrowia i mienia obywateli, dbając o ich bezpieczeństwo – często kosztem własnego spokoju, a niekiedy narażając życie. To dzięki Waszemu zaangażowaniu, profesjonalizmowi i determinacji społeczeństwo może czuć się bezpieczniej” – przekazał, składając życzenia z okazji Święta Policji, Piotr Duda. „Serdecznie dziękuję za Wasz trud i oddanie. Życzę, aby Wasza praca była zawsze otaczana należnym szacunkiem – zarówno przez obywateli, jak i przez władze państwowe. Niech towarzyszy Wam satysfakcja z pełnionej służby, stabilność, zdrowie, a także wsparcie i zrozumienie najbliższych. Niech każdy dzień niesie ze sobą poczucie spełnienia, a każdy powrót do domu – radość i bezpieczeństwo” – dodał.

A.Ż.

Kalendarium

Solidarności

1.08.1944 – o 17.00, w Godzinę „W”, wybucha Powstanie Warszawskie. Do jego dziedzictwa nawiązuje wielu członków Solidarności, corocznie uczestnicząc w obchodach tej rocznicy;

14.08.1980 – rozpoczyna się strajk w Stoczni Gdańskiej. Protestujący domagają się m.in. przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz oraz budowy pomnika Ofiar Grudnia ’70;

17.08.1980 – Międzyzakładowy Komitet Strajkowy redaguje 21 postulatów, które zostają zapisane na tablicach ze sklejki. Ten artefakt jest do dziś dostępny do zwiedzania w historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej.

eprasa.pl 8a00c38e4c

PRAWO

TO NIE JEST DOMEK, KTÓRY ZAMAWIALIŚMY, czyli jak nie dać się oszukać w wakacje

W te wakacje wynajęliśmy z rodziną domek nad jeziorem. W ogłoszeniu wyglądał pięknie: nowoczesny, czysty, dobrze wyposażony, w spokojnej okolicy i z widokiem na wodę. Niestety, na miejscu czekało nas **ogromne rozczarowanie**. Domek był zaniedbany, śmierdziało w nim stęchlizną, nie działała połowa sprzętów, a do jeziora było znacznie dalej, niż zapewniał właściciel. Nie spełniał praktycznie żadnego z obiecanych standardów. Czy mogę w tej sytuacji domagać się zwrotu pieniędzy lub jakiejkolwiek rekompensaty?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Takie sytuacje zdarzają się częściej, niż mogłoby się wydawać, zwłaszcza w sezonie wakacyjnym, gdy rezerwacje często robione są w pośpiechu, a ogłoszenia bywają mocno „upiększone". Tymczasem w świetle prawa wynajmujący, który oferuje domek letniskowy, ponosi odpowiedzialność za jego zgodność z opisem przedstawionym w ogłoszeniu. Nawet jeśli nie została zawarta pisemna umowa, to już sama korespondencja mailowa, treść ogłoszenia, potwierdzenie przelewu lub wiadomość SMS są wystarczające do przyjęcia, że doszło do zawarcia umowy najmu. Zgodnie z art. 471 Kodeksu cywilnego strona, która nienależycie wykonała zobowiązanie, zobowiązana jest do naprawienia wynikłej z tego szkody. W praktyce oznacza to, że jeśli domek nie spełnia warunków uzgodnionych wcześniej z wynajmującym, masz prawo domagać się obniżenia ceny, zwrotu części opłaty, a w poważniejszych przypadkach nawet całkowitego zwrotu pieniędzy lub odszkodowania. Pierwszym krokiem powinno być poinformowanie właściciela o niezgodnościach. Warto to zrobić od razu, najlepiej w formie pisemnej, SMS-em, mailem lub przez komunikator. W tym samym czasie warto dokładnie udokumentować zastany stan domku, zrobić zdjęcia lub nagrania wideo pokazujące brud, uszkodzenia, pleśń, zniszczone meble czy niedziałające urządzenia. Jeśli domek jest w stanie uniemożliwiającym normalny wypoczynek, można rozważyć wcześniejsze opuszczenie obiektu, informując właściciela o przyczynach. W takiej sytuacji najlepiej zażądać częściowego lub całkowitego zwrotu pieniędzy, powołując się właśnie na nienależyte wykonanie umowy.

WARTO UDOKUMENTOWAĆ STAN DOMKU, ZROBIĆ ZDJĘCIA LUB NAGRANIA WIDEO POKAZUJĄCE BRUD, PLEŚŃ CZY USZKODZENIA MEBLI.

Jeśli właściciel odmawia jakichkolwiek działań, możesz wezwać go do zapłaty, formalnie, listem poleconym lub mailem z potwierdzeniem odbioru. Takie wezwanie powinno zawierać opis sytuacji, wskazanie uchybień oraz konkretne żądania, np. obniżenia ceny lub zwrotu konkretnej kwoty. W razie dalszego sporu można skierować sprawę do sądu cywilnego. Sąd, oceniając sytuację, będzie brał pod uwagę dokumentację, którą przedstawisz. Dlatego tak istotne są zdjęcia, wiadomości, a nawet opinie innych gości, jeśli uda się je zdobyć. Jeżeli domek był wynajmowany przez serwis pośredniczący, np. Booking, Airbnb czy OLX, możesz również złożyć skargę i domagać się interwencji platformy. W wielu przypadkach takie serwisy pośredniczą w sporach i potrafią skutecznie wymusić zwrot środków od nierzetelnego wynajmującego.

W niektórych przypadkach, jeśli doszło do rażącego wprowadzenia w błąd, np. pokazano inne zdjęcia niż w rzeczywistości, podano fałszywą lokalizację lub obiecano warunki, które nie istnieją, można rozważyć zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa oszustwa.

eprasa.pl 8a00c38e4c

SAMORZĄDNOŚĆ ZWIĄZKOWA a treść statutu związku zawodowego

Niejednokrotnie na łamach „Tygodnika Solidarność" podkreślana była ranga i doniosłość samorządności jako jednej z cech każdego związku zawodowego. Dobitnym tego potwierdzeniem jest fakt, że to właśnie samorządność została włączona do pełnej nazwy Solidarności.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

SAMORZĄDNOŚĆ ZWIĄZKOWA PRZEJAWIA SIĘ w sposób najbardziej dobitny w zakresie spraw przekazanych przez ustawodawcę do wewnętrznych rozstrzygnięć każdego związku zawodowego. Innymi słowy – wiele kwestii, które tradycyjnie w przypadku innych jednostek funkcjonujących w obrocie prawnym (np. stowarzyszeń, fundacji czy spółek) ustawodawca rozstrzyga samodzielnie, w przypadku związków zawodowych są pozostawione do decyzji samych związków. Nie jest to przy tym niedopatrzenie ze strony prawodawcy, lecz celowy i świadomy zabieg.

Dobitnym wyrazem tego jest brzmienie art. 9 ustawy o związkach zawodowych, który przewiduje, że struktury organizacyjne związków zawodowych określają swobodnie ich statuty oraz uchwały związkowe. Ten sam charakter ma art. 10 ustawy, wskazując, iż statuty i uchwały statutowych organów związkowych ustalają zasady członkostwa w związku zawodowym oraz sprawowania funkcji związkowych.

Już w tych regulacjach można z łatwością dostrzec, jak szeroki zakres spraw wewnątrzorganizacyjnych pozostawiony jest do decyzji związków.

Wreszcie nie sposób nie przywołać art. 13 ustawy związkowej, w której zawarty został otwarty katalog spraw określanych w statucie. Oprócz kwestii dosyć oczywistych i nie stanowiących niczego szczególnego względem innych jednostek (takich jak określenie nazwy, siedziby, zakresu działania, sposobu zmian statutu czy rozwiązania związku) zawiera on jednak regulacje o bardzo doniosłym znaczeniu praktycznym i stanowiące bardzo daleko idący wyraz samorządności związkowej. Do tej grupy można zaliczyć przekazanie do regulacji statutowej takich spraw, jak: a) struktura organizacyjna związku ze wskazaniem, które z jego jednostek organizacyjnych mają osobowość prawną, b) sposób reprezentowania związku oraz osoby upoważnione do zaciągania zobowiązań majątkowych w jego imieniu, c) organy związku, tryb ich wyboru i odwołania, zakres ich kompetencji oraz okres kadencji.

Wynika z nich bowiem, że właściwie cała sfera wewnątrzorganizacyjna związku została przekazana do samodzielnego rozstrzygnięcia w aktach prawa wewnątrzzwiązkowego, tj. statucie i uchwałach. Stąd też tak istotne praktyczne znaczenie ma np. § 41 statutu NSZZ „Solidarność", w którym określone zostało, jaki zakres kompetencji mają władze wykonawcze poszczególnych jednostek organizacyjnych Związku.

Warto tutaj zaznaczyć, że skoro w ustawie zostało przesądzone, że przykładowo statut określa organy związku i zakres ich kompetencji, to rozstrzygnięcia poczynione w statucie danego związku są zasadniczo wiążące dla otoczenia związku, czyli innych podmiotów, z którymi związek wchodzi w relacje prawne (szczególnie gdy szczegółowy przepis ustawy wprost używa określenia „właściwy statutowo organ związku" lub innego o podobnym znaczeniu). Wyjątkowo jednak, zwłaszcza jeśli chodzi o relacje na poziomie zakładu pracy, ustawodawca ogranicza w pewnym stopniu samorządność związkową, wskazując, że dane uprawnienie realizuje zakładowa organizacja związkowa (np. w kontekście uzgadniania regulaminu pracy czy wynagradzania), co oznacza, że statut nie może przekazać tej kompetencji, np. wyższej jednostce organizacyjnej (ewentualnie statut może przewidywać dopuszczalność upoważnienia wyższej jednostki organizacyjnej przez zoz, lecz wówczas ta jednostka będzie działała nie we własnym imieniu, lecz w imieniu organizacji zakładowej).

WIELE KWESTII JEST POZOSTAWIONYCH DO DECYZJI SAMYCH ZWIĄZKÓW.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 8a00c38e4c

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

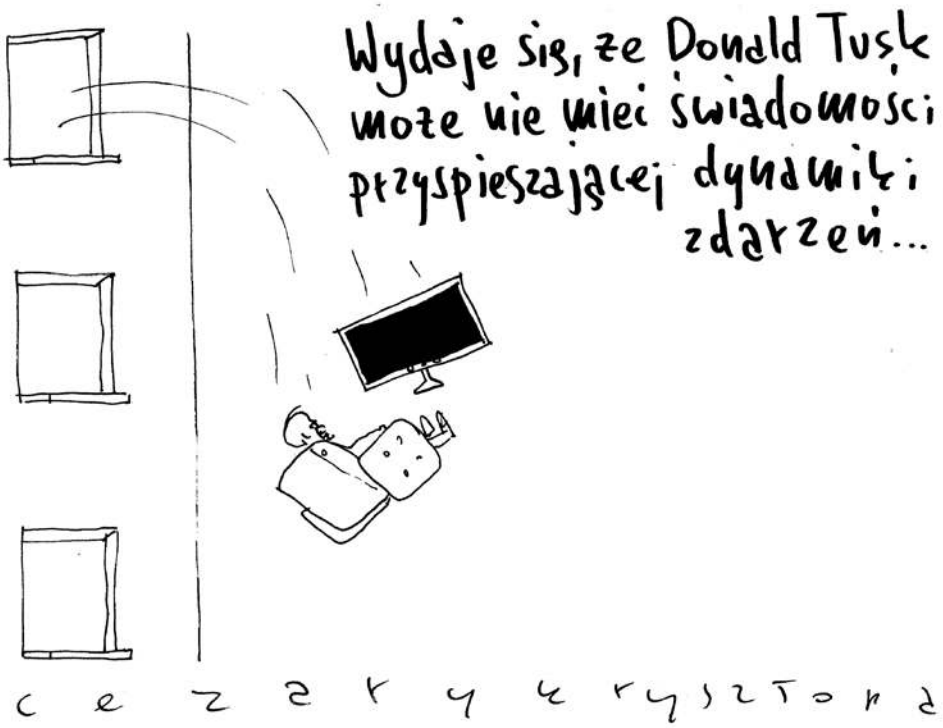

Nasi autorzy

Barbara Michałowska (Kontynuatorzy..., s. 11), dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Mikołaj Mirowski (Historyczna..., s. 34), historyk, publicysta Forum Żydów Polskich, w latach 2021–2023 redaktor naczelny kwartalnika „Pleograf" zajmującego się historią filmu polskiego.

Ludwik Pęzioł (Czy młoda..., s. 17), autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Łukasz Sakowski (Infrastruktura..., s. 46), założyciel portalu naukowego To Tylko Teoria, twórca popularnego plebiscytu internetowego Biologiczna Bzdura Roku, w której wyróżniane są najbardziej antynaukowe stwierdzenia w przestrzeni publicznej (nagroda przyznawana jest od 2016 roku).

Barbara Sułek-Kowalska (To nie jest..., s. 20), legenda polskiego dziennikarstwa, przez wiele lat związana z „Tygodnikiem Solidarność".

Maciej Szlinder (Rząd dławi..., s. 24), jest filozofem i ekonomistą. W 2019 r. opublikował książkę „Bezwarunkowy dochód podstawowy. Rewolucyjna reforma społeczeństwa XXI wieku". Od 2016 r. związany z Partią Razem. W 2022 r. był jej kandydatem na członka Rady Polityki Pieniężnej NBP.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 8a00c38e4c

REPUBLIKA

W bębnie rewolweru jest 6 kul. W programie jest 6 gwiazd telewizji Republika, które w 6 rundach komentują najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia w polskiej polityce. To jest „Rewolwer" – nowy format rozmów w Republice!

REWOLWER

SOBOTA
9:10
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 8a00c38e4c

#MuremZaPolskim Mundurem

Koszulki

już do kupienia na

www.solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl 8a00c38e4c